Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

ŁOWIEC POLSKI



Wyciąganie ubitego odyńca z kniei. Fot. J. hr. Dunin-Karwicki.

ORGAN

POLSKIEGO ZWIĄZKU STOWARZYSZEŃ ŁOWIECKICH

Nr. 36 (776) 20 GRUDNIA 1934 R.

KONKURS

Zarząd Miejski w Toruniu ogłasza konkurs na stanowisko **nadleśniczego miejskiego**, kierownika przedsiębiorstwa Dobra i Lasy Miejskie w Toruniu.

Warunki kwalifikacyjne kandydata:

a) Nieprzekroczony 40 rok życia i nieposzlakowana przeszłość,
b) ukończone wyższe studja leśne,
c) praktyka administracyjno-leśna z egzaminem państwowym.

Uposażenie według VII—VI grupy ustawy uposażeniowej zależnie od praktyki oraz wolne mieszkanie i deputat w wymiarze i na warunkach przewidzianych w przepisach dla leśniczych państwowych, zależnie od uchwał organów ustrojowych miasta.

Podania z własnoręcznie napisanym życiorysem i świadectwami kierować należy do Zarządu Miejskiego w Toruniu do dnia 15 stycznia 1935 r.

Prezydent Miasta

Śniadanie. Z polowań Poleskiego Towarzystwa Myśliwskiego. Fot. J. hr. Dunin-Karwicki.



Wszystkim Prenumeratorom „Łowca Polskiego" na zbliżające się święta Bożego Narodzenia życzenia trwałego powodzenia w pracy łowieckiej i jak najlepszych jej wyników przesyła Redakcja.

MYŚLISTWO JAKO CZYNNIK GOSPODARCZY.

Teza o gospodarczem znaczeniu łowiectwa zyskuje niewątpliwie coraz bardziej na popularności. Ale również niewątpliwym faktem jest częste, nawet zbyt częste, niedocenianie tej strony łowiectwa, zwłaszcza w jej odmianie myślistwa, t. j. wykonywania polowań. Jeszcze hodowca zwierzyny, zwłaszcza eksporter, znajduje uznanie, jako osobnik, przysparzający krajowi dochodu. Ale myśliwy? Jest to „zwolennik zabawy swoistej, nacechowanej okrucieństwem, sprzecznej z ukochaniem przyrody, krzywdzącej „maluczkich" przez ograniczanie ich na mocy zbędnej ustawy w przyrodzonem prawie urozmaicania stołu zwierzyną o każdym czasie. Przez wybijanie zwierzyny, myśliwy pomniejsza majątek narodowy i jest raczej ujemnym, niż dodatnim czynnikiem gospodarczym".



Na stanowisku.

Fot. W. Korsak.

Ponieważ w obronie moralnych i etycznych cech myślistwa zabierali już na łamach „Łowca Polskiego" głos liczni pisarze, ograniczę się tu przeto do oświetlenia tylko strony gospodarczej procederu myśliwskiego. Aby nie być w swych twierdzeniach zupełnie gołosłownym, oprę się na materjale faktycznym, zebranym na terenie jednego z naszych większych, a wzorowo nietylko pod względem łowieckim, ale również administracyjnym i księgowym prowadzonego stowarzyszenia myśliwskiego, mianowicie Koła Miłośników Łowiectwa w Warszawie.

W 1933/34 roku łowieckim Koło Miłośników przy 48 członkach rzeczywistych i 2 członkach honorowych, dzierżawiło 51.100 ha terenów myśliwskich państwowych, folwarcznych i włościańskich (pod Warszawą, w grodzieńskiem, lubelskiem, wileńskiem i na Polesiu), za które płaciło:

tenuty dzierżawnej . . .	10.485 zł.
podatku komunalnego . .	816 „
razem	11.301 zł.

Do sumy tej dochodzą odsetki od kaucyj, wpłaconych przy zawieraniu kontraktów dzierżawnych w kwocie 2.280 zł., co, licząc 6%, stanowi 135 zł. Koszt dzierżawy terenów myśliwskich stanowił zatem w roku sprawozdawczym 11.436 złotych.

Na utrzymanie straży łowieckiej na terenach Koła wydatkowano:

na wynagrodzenie 23 strażników . . .	4.135 zł.
nagrody za walkę z kłusownictwem . .	401 „
strzałowe za drapieżniki	217 „
broń i amunicja dla straży	149 „
razem .	4.902 zł.

Potrzeby hodowlane i inwestycyjne pociągnęły za sobą wydatki następujące:

na karmę i przynętę dla zwierzyny . .	1.012 zł.
na zakup zwierzyny żywej i inwestycje	1.833 „
razem .	2.845 zł.

Poza temi głównemi pozycjami rozchodowemi Zarząd Koła wydał w roku sprawozdawczym:

na administrację terenów łowieckich . .	443 zł.
wynagrodzenie maszynistki	720 „
wydatki kancelaryjne, druki, porto . .	888 „
opłata składek do P. Z. S. Ł. i innych org.	266 „
wydatki drobne	55 „
razem .	2.372 zł.

Ogółem przeto wydatki Koła Miłośników Łowiectwa stanowiły w 1933/34 roku — 21.555 zł. Do tych wydatków dochodziła w latach poprzednich kwota około 300 zł. rocznie, wypłacana jako odszkodowanie za szkody, poczynione przez dziki, zaś od 1934/35 roku — także mniej więcej kwota premji asekuracyjnej za ubezpieczenie straży łowieckiej od wypadków. Ponieważ oba te wydatki stanowić powinny stałą rubrykę w budżecie stowarzyszenia, posiadającego ostoje dzicze oraz dbającego o swą straż, przeto włączam je w sumie 600 zł. do ogólnej kwoty wydatków, które w ten sposób osiągną sumę 22.200 zł. rocznie.

Obok wydatków Zarządu Koła, duże rozchody ponoszone są przez poszczególnych członków stowarzyszenia w związku z wykonywaniem przez nich polowania na terenach Koła. Do kategorji takich wydatków zaliczam: koszt karty łowieckiej i pozwolenia na broń, koszt amunicji, koszty przejazdu na miejsca polowania i z powrotem, koszty związane z organizacją polowania na miejscu, wreszcie koszt przeżywienia, napiwków i t. p.

Pierwszą pozycję tych wydatków, mianowicie koszt karty łowieckiej i pozwolenia na broń, da się łatwo obliczyć. Przy 50 członkach czynnych i przeciętnej opłacie za kartę i pozwolenie — 30 zł., daje to kwotę 1.500 zł. rocznie.

Dla obliczenia ilości wystrzelonej amunicji uwzględnić należałoby szereg warunków: klasę strzelecką myśliwego, rodzaj strzelanej zwierzyny, czas i typ polowania i t. d. Są to cechy bardzo indywidualne, a przy większym zespole i w okresie rocznym mało uchwytne. Z konieczności przeto trzeba się uciec do pewnych uproszczeń. Dość ścisłe notowanie ilości strzałów na polowaniach zbiorowych w Kole Miłośników wykazało, iż średnia ilość podniesionej zwierzyny stanowi 1/4 ilości zużytych nabojów. Ten sam stosunek zaobserwowano przy polowaniach na kszyki, kaczki z łódki, cietrzewie z pod psa; spada ten stosunek do 1/3 nawet do 1/2 przy kuropatwach

z podrywu, ale wzrasta do 1/5 przy kurach i kaczkach pędzonych. Nie popełnię przeto wielkiego błędu, jeżeli przyjmę ilość wystrzelonych nabojów za równą 4-krotnej ilości podniesionej zwierzyny. Ponieważ w 1933/34 roku łowieckim upolowano w Kole Miłośników 3.275 sztuk zwierzyny, wystrzelono przeto okrągło 13.000 nabojów, co przy cenie 26 zł. za setkę czyni 3.400 zł. Nie uwzględniam tu osobno nikłej stosunkowo ilości strzałów kulowych.

Do osobnej kalkulacji trzeba się również uciec przy określaniu następnej pozycji wydatków, mianowicie kosztów przejazdu. Tereny Koła stanowiły — co do odległości od Warszawy — cztery odrębne kompleksy: tereny podwarszawskie, oddalone przeciętnie o 50 km., tereny grodzieńskie i parczewskie— 240 km., obszary nad Jasiołdą — 320 km., wreszcie pod Jaszunami w Wileńszczyźnie — 450 km.

Na tereny podwarszawskie odbyło się w sezonie letnim 101 wyjazdów, co przy koszcie przejazdu koleją w klasie III-ej — 3.40 zł. w każdą stronę stanowi wydatek ogólny 687 zł. Na dojazd od stacji do terenu polowania wynajem koni kosztował 3.50 zł. w każdą stronę, co czyni razem 707 zł. Podczas polowań jesiennych wynajmowano autobus z opłatą średnią po 8 zł. od osoby. Przy 146 uczestnikach dawało to kwotę 1.168 zł.

Na tereny grodzieńskie i parczewskie wyjeżdżało na polowania zbiorowe 73 myśliwych. Łączny koszt przejazdu koleją wyniósł w obie strony 1.724 zł., przejazdu zaś końmi ze stacji i na stację, licząc po 3 zł. w każdą stronę — 438 zł.

Na Jasiołdę wyjeżdżało 33 myśliwych. Koszt przejazdu koleją wyniósł 1.125 zł., przejazdu końmi — 297 zł.

Do Jaszun na polowania wiosenne wyjeżdżało 21 myśliwych, a na zimowe zbiorowe — 20 myśliwych. Opłaty kolejowe wyniosły 1.845 zł., końmi — 246 zł.

Do wydatków powyższych doliczyć należy koszty dojazdu w Warszawie do stacji kolejowej, względnie autobusowej i z powrotem oraz opłatę „numerowych". Jeżeli przypuścić, że przy wyjazdach na tereny pobliskie latem oraz przy wynajmie autobusu jesienią, tylko połowa myśliwych, na ogólną ilość 247, korzystała z taksówek i z usług numerowych, zaś myśliwi, udający się na inne tereny w ilości 147, zmuszeni byli zawsze ten wydatek ponosić, to przy średnim koszcie przejazdu i opłaty numerowego 6 zł. od osoby wydatek związany z tem osiągnął kwotę (247 × 3 + 147 × × 6) = 1.623 zł.

Całkowity przeto koszt przejazdów myśliwych wyraził się w liczbach następujących:

bilety kolejowe	5.381 zł.
autobusy, taksówki, numerowi	2.791 „
przejazdy końmi	1.688 „
Razem	9.860 zł.

Jeżeli zkolei zwrócimy się do obliczenia wydatków, związanych z organizacją polowań na terenach, to rozróżnić musimy wydatki na polowaniach zbiorowych od kosztów wycieczek indywidualnych. Według notowań gospodarzy polowań jesiennych i zimowych w Kole Miłośników koszty organizacji i prowadzenia polowania, składające się z kosztów wynajmu koni, kosztów tropienia, fladrowania, naganki i t. p., wynosiły na osobę dziennie 10—14 zł., a więc średnio 12 zł. Przy kilkudniowych polowaniach dochodziły do tego opłaty za nocleg i za usługę w kwocie 3 zł od osoby dziennie. Polowań zbiorowych odbyło się w 1933/34 r. — 17, w tem 7 dwudniowych i 1 trzydniowe, razem dni łowieckich 26 przy średnim udziale 14 myśliwych. Według podanych wyżej norm kwota ogólna wydatków na polowaniach zbiorowych osiągnęła cyfrę 4.746 zł.

Oprócz dużych polowań zbiorowych odbyło się 6 wyjazdów na wilki przy udziale ogółem 20 myśliwych, w tem 4 wyprawy dwudniowe. Stosując te same normy kosztów, otrzymamy kwotę 528 zł.

Wycieczek indywidualnych wiosennych i letnich odbyło się 170, w tem 55 dwudniowych. Przy kosztach o połowę mniejszych od polowań zbiorowych daje to kwotę 1.515 zł.

Razem przeto wydatki na organizację polowań na terenie osiągnęły sumę 6.790 zł.



Parostki kozła, ubitego w sierpniu b. r. w Tłokini (pow. Kalisz) przez p. K. Żywanowskiego.

Ostatnią wreszcie pozycję tej kategorji wydatków stanowiły koszty przeżywienia, napiwki służbie i t. p. Jest to znowu pozycja o charakterze zupełnie indywidualnym. Jeżeli określić ją zgrubsza kwotą 5 zł. dziennie od osoby, to przy ilości 610 osobo-dni ustalimy odnośny wydatek na 3.050 zł.

Ogółem zatem ta kategorja wydatków członków Koła, która połączona była z wykonywaniem polowania na terenach stowarzyszenia, sprowadza się do kwot następujących:

karty łowieckie i pozwolenia na broń	1.500 zł.
amunicja	3.400 „
koszty przejazdów	9.860 „
organizacja polowań na terenie	6.790 „
koszty przeżywienia, napiwki i t. d.	3.050 „
razem	24.600 zł.

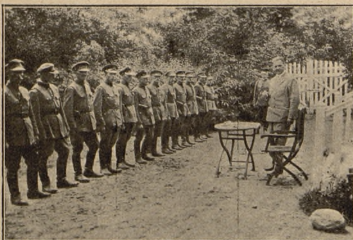
Osobną kategorję wydatków, ponoszonych przez myśliwych, zrzeszonych w Kole Miłośników Łowiectwa, stanowiły wydatki na broń, przybory i sprzęt myśliwski, ubrania, bieliznę i obuwie, wydatki związane z posiadaniem psów myśliwskich, wkońcu prenumerata pism i zakup wydawnictw łowieckich.

Jeżeli przy poprzednich obliczeniach można się było oprzeć na pewnych danych statystycznych, lub na zapisach organizatorów polowań, to tu poprzestać muszę z konieczności na pewnych założeniach ogólnikowych, w stopniu tylko nieznacznym popartych wywiadami z poszczególnymi członkami Koła.

Jeżeli chodzi zatem o wartość posiadanej przez członków Koła broni, to stwierdzono, że przeciętnie na każdego myśliwego przypada po 2 sztuki broni, mianowicie dubeltówka śrutowa i sztucer, karabin, albo dryling kulowy. Pomimo dużej różnicy w wartości, jako cenę przeciętną pary broni, używanej w Kole, przyjąć można na 1.600 zł. Pozostały sprzęt myśliwski, jak: futerały, ładownice, torby, wory i siatki myśliwskie, lunety i lornety, kordelasy i noże, lampki elektryczne, krzesełka i t. p., oceniam na 400 zł.

Razem przeto koszt ekwipunku myśliwskiego stanowi na osobę 2.000 zł., co przy 50 myśliwych czyni 100.000 zł. Przy średnim okresie użytkowym dla broni 10 lat czyni to roczny wydatek umorzenia — z uwzględnieniem procentów składanych — około 10.600 zł.

Dla obliczenia wydatków na wyekwipowanie odzieżowe czynię założenie, iż każdy myśliwy posiadać musi 3 komplety ubrań: na zimę, na wiosnę i jesień oraz na lato. W skład kompletu zimowego wchodzą: burka lub docha, kożuszek, właściwe ubranie, sweter, czapka, rękawice, ciepła bielizna i filcowe buty. Licząc najskromniej, określam koszt takiego kompletu na 500 zł., a okres użytkowania na 10 lat, co przy 50 myśliwych daje koszt ogólny 25.000 zł., a roczny koszt umorzenia — 2.700 zł.



Zaprzysiężenie strażników łowieckich przed starostą w Kraśniku.

Fot. inż. Dąbrowski.

W skład kompletu wiosenno-jesiennego wchodzą: płaszcz nieprzemakalny lub wiatrówka ciepła kurta i takież spodnie, pool-over, kapelusz, rękawice, bielizna, buty skórzane wysokie lub sznurowane i takież gumowe lub wodery. Cena takiego kompletu będzie nie mniejsza, niż zimowego, t. j. 500 zł., co przy 10-letnim okresie zużycia daje ten sam koszt roczny umorzenia — 2.700 zł.

Koszt ubrania myśliwskiego letniego wraz z bielizną, obuwiem i nakryciem głowy nie przekroczy połowy ceny ekwipunku zimowego, ale że okres trwałości jest niewątpliwie o połowę krótszy — 5 lat — przeto roczna rata amortyzacyjna pozostanie takaż, jak przy poprzednich pozycjach t. j. 2.700 zł. Razem początkowe wydatki odzieżowe 50 członków Koła określam na 62.500 zł., a wysokość rocznej kwoty amortyzacyjnej na — 8.100 zł.

Psy myśliwskie posiada zaledwie połowa członków Koła. Jeżeli cenę ułożonego dorosłego psa legawego określimy w warunkach dzisiejszych na 350 zł., to wartość ogólna psiarni w Kole (25 psów) stanowić będzie 8.750 zł., co przy 5-letniem okresie służby użytkowej psa uczyni wraz z odsetkami około 1.900 zł. rocznie. Do tego dochodzą koszty utrzymania psa, podatek miejski, leczenie i przewozy na polowania. Licząc koszt utrzymania psa w Warszawie na 300 zł. rocznie, podatek — 30 zł., koszty przewozu psa tyleż, podobnie jak i koszty leczenia, otrzymamy kwoty: 1900 + 7500 + 750 + 750 + 750 = 11.600 zł.

Ostatnią wreszcie pozycję wydatków tej kategorji stanowi prenumerata pism i zakup wydawnictw łowieckich. Wobec obowiązującej każdego członka Koła Miłośników prenumeraty „Łowca Polskiego", wydatek na ten cel stanowi: 28 × 50 = 1.400 zł. Dołączając na zakup książek, map, sztychów, medali i odznak łowieckich ryczałtową sumę 1.000 zł., otrzymamy kwotę ogólną — 2.400 zł.

A teraz sprowadźmy wszystkie wyliczone wydatki do zestawienia ogólnego:

wydatki Zarządu Koła Miłośników	22.200 zł
„ czł. Koła, związane z polowaniem	24.600 „
„ „ „ na broń, ubranie, psy i różne	32.700 „
Razem	79.500 zł.

Przy 50 myśliwych czyni to okrągło 1.600 zł. wydatków rocznych na myśliwego.

Sądząc z ilości wykupionych kart łowieckich mamy zarejestrowanych w Polsce około 50.000 myśliwych. Do myśliwych tej kategorji, jaką stanowi skład Koła Miłośników Łowiectwa, możemy zaliczyć nie więcej jak $^{1}/_{10}$ ogółu myśliwych. Przy normie 1.600 zł. roczna kwota wydatków 5.000 myśliwych stanowić będzie 8 miljonów złotych. Jeżeli założymy — na podstawie znajomości stosunków w świecie łowieckim — że około 1.500 myśliwych zamożniejszych wydaje na polowanie dwukrotnie więcej, niż uczestnicy Koła, a jeszcze 500 myśliwych ponosi wydatki czterokrotnie wyższe, to ogół rozchodów tych trzech kategoryj myśliwych stanowić będzie: 8.0 + 4.8 + 3.2 = 16 miljonów zł.

Natomiast znacznie większa ilość myśliwych w Polsce wydaje na polowanie mniej, niż członkowie Koła Miłośników Łowiectwa. Jeżeli przypuścić, iż ¼ ogółu myśliwych, okrągło 13.000 osób, poświęca na polowanie tylko połowę wydatków, czynionych przez członków Koła, a pozostała ilość, t. j. 30.000 osób, zaledwie ¼, to wydatki tych dwu kategoryj myśliwych będą stanowiły: 10.4 + 12.0=22.4 miljonów zł., zaś całkowita kwota wydatków, ponoszona przez ogół polskich myśliwych — 38.4 miljonów zł.

Czy jest to dużo, czy mało? Odpowiedź na to pytanie może dać jedynie porównanie z wydatkami, czynionemi na myślistwo w innych krajach. Według W. Biegera, autora pracy: „Die Deutsche Jagdwirtschaft", wydatki 260 tys. myśliwych, zarejestrowanych w 1925/26 r. w Niemczech stanowiły okrągło 140 milj. marek. Daje to na 1 myśliwego 535 mk. czyli 1.140 zł., wówczas gdy w Polsce wypada z podanego obrachunku 730 zł. rocznie. Ponieważ koszty utrzymania w Niemczech są o 50% wyższe, niż w Polsce, przeto wyniki mego obrachunku nie wydają się zbyt oddalone od rzeczywistości.

A zatem 38.4 miljonów złotych wpływa rokrocznie od myśliwych polskich do kas skarbowych, samorządowych, kolejowych, do sklepów z bronią i amunicją, do wytwórni ubrania, bielizny, obuwia i galanterji skórzanej, do sklepów spożywczych, do rąk gajowych, woźniców, naganiaczy, wreszcie do redakcyj i księgarni.

Ale nie należy również lekceważyć i strony dochodowej myślistwa. Ubita zwierzyna stanowi w wielu krajach poważną pozycję zarówno w dziedzinie aprowizacji ludności, jak i handlu. Według cytowanego już W. Biegera ubita w Niemczech w 1925 r. zwierzyna dostarczyła 18.5 miljonów kg. mięsa wartości 28.3 miljonów marek oraz skór i futer za 3 miljony mk. U nas statystyki podobnej niema, ale gdybyśmy zredukowali te ilości do $^{1}/_{5}$ — odpowiednio do stosunku ilości zarejestrowanych myśliwych — to otrzymalibyśmy 3.7 miljonów kg. zwierzyny wartości 5.7 milj. mk., czyli 12.1 milj. zł. oraz skór wartości 1.2 milj. zł. Łącznie z wydatkami myśliwych w gotówce stanowić to będzie 51.7 milj. zł., włączonych co roku do obrotu gospodarczego kraju.

Podając powyższe liczby do łaskawej uwagi czytelników, posiadam całą świadomość pozornej kruchości podstaw, na których zostały one oparte. Ale czynię to w nadziei, że poruszone zagadnienie zachęci kolegów z innych stowarzyszeń łowieckich do podjęcia podobnych badań i przysporzy materjału do sprawdzenia i uzupełnienia mojej próby — wyrażenia strony gospodarczej myślistwa polskiego w liczbach.

J. GIEYSZTOR

GRUDNIOWEJ NOCY SROGOŚĆ I GROZA.

Krótki dzień zimowy mijał szybko. Zamglone słońce zmierzało ku zachodowi, a spojrzawszy sennem okiem jeszcze raz na ziemię, jakgdyby śląc jej wieczorne pożegnanie, zgasło za horyzontem.

Od północy zerwał się mroźny wicher, unosząc w górę śnieżyste pyły. Cała przestrzeń szeroko rozpostartych pól, wyglądała, jak biała pustynia; na jej tle rysowała się ostrym konturem ciemna ściana boru, szumiącego tajemniczo i jakby złowrogo. Mrok gęstniał coraz bardziej. Poprzez szare opary ledwie można było dostrzedz wbite w niebo ćwieki gwiazd.



„Pewny chwyt" Według rysunku W. Arnolda.

Na puszystej śniegowej płachcie, tuż pod samym lasem, zamajaczyły nagle jakieś zwinne, ruchliwe sylwetki. Wyskoczyły z gąszczu i pognały galopem w stronę pobliskiej oziminy. Tam rozsiadły się wygodnie, wydłużyły i poczęły rozgrzebywać zamarznięty śnieg. Gdy jedne kicały beztrosko, lub, przykucnąwszy, pogryzały strzępy odkrytej trawy, inne stawały na tylnych skokach, jakieś dziwnie zatroskane i niespokojne... słuchy postawiły w pion, wpatrując się uważnie w otchłanną czerń kniei, jakgdyby stamtąd właśnie nadejść miało groźne niebezpieczeństwo.

Istotnie wiszary świerkowe, spływające aż do samej niemal ziemi, poruszyły się nieznacznie. Na pole wyjrzały drapieżne, przebiegłe oczy lisa... Z emocji rabuś rozwarł mordkę i aż mlasnął językiem na widok tego, co zobaczył.

Rozejrzał się pilnie dookoła, niby badając teren, obliczał, zda się, szanse zbójeckiego napadu i szukał ofiary. Raptem przysiadł na zadzie, sprężył się do skoku i runął przed siebie, jak puszczona z łuku strzała.

Najbliższy zając, ten właśnie, którego sobie lis upatrzył, spostrzegłszy wroga w ostatniej chwili, począł co tchu uciekać. Najpierw odległość między niemi wzrastała. Ale że lis był stary, doświadczony, silny, a przytem bardzo głodny i że zapewne niejeden podobny wyścig już wygrał, przeto gonił szaraka zwinnie lekko i wytrwale. Po dłuższej gonitwie zając zaczął kluczyć, przystawać, jakby mu tchu nie stawało i, zamiast biedz wprost przed siebie, kipiał po linji kołowej. Lis tuż za nim, albo chytrze — naprzełaj, coraz natarczywszy, coraz pewniejszy. Arena biegu poczęła się gwałtownie zmniejszać; szarak coraz węższe zataczał już koła, coraz bliżej ofiary był lis... Wkońcu dopadł jej, na wpół żywej ze strachu i zmęczenia, wbijając ostre swe kły w kark zajęczy. Uśmierciwszy, odpoczął trochę i niebawem zaniósł zdobycz w niedalekie gąszcze, i zasiadł do smacznej wieczerzy.

Blady sierp księżyca, wyglądający od chwili z za chmur, patrzył spokojnie na tę posępną tragedję grudniowej nocy. Wkrótce zwiewny śnieg przysypie wszelkie jej ślady...

Pod krzewem jałowca zasiadło zwieczora stadko kuropatw. Było ich zaledwie już tylko osiem, gdyż resztę z dużej doniedawna jeszcze rodziny zdziesiątkowała ręka strzelca lub jastrząb. Kilka tedy żwawych, ruchliwych punkcików, widocznych dobrze przed mrokiem, lecz niknących coraz bardziej z nadchodzącą nocą, zagrzebywało się do połowy swych ciałek, lub nawet całkowicie, w puchu śnieżnym.

Ćwierknęły ku sobie porozumiewawczo, niby na dobranoc, dygnęły ogonkami, strzepnęły skrzydełkami i spać poczęły, brzuszkami silnie przywarłszy do śniegu, by ukryć w gęstem pierzu przemarzłe łapki.

Tymczasem z pod niedalekiego jałowcowego krzaczka oderwało się małe, podłużnych kształtów zwierzątko: zatrzymywało się co krok, zarzucało dość zabawnie przedniemi odnóżami, a podciągając tylne, garbiło się pokracznie. Był to tchórz, krwi chciwy wróg kuropatw, który, zwęszywszy bliski łup, szedł już prosto do kur.

O krok przed śpiącem stadkiem zatrzymał się na sekundę, a wypatrzywszy jedną, najbliższą sztukę, skuloną w uśpieniu, skoczył ku niej gwałtownie. Parę pisków przerażonego kogutka, konwulsyjny trzepot skrzydeł i krótki, jak oka mgnienie, charkot— poprzedziły ucztę małego rozbójnika.

Wśród reszty kuropatw powstała panika. Przerażone bez miary, wzniosły się biedne ptaki z miejsca i odleciały w ciemną dal. Po długiej dopiero chwili odważyły się usiąść na małej polance u brzegu lasu i rozglądać się poczęły w szarej pomroce, zwołując się żałośliwie, gdy nagle zawisł nad niemi jakiś wielki, koszmarny cień... Zanim zorjentowały się, czy nie grozi im znowu niebezpieczeństwo, już krzyk starej kury - matki, porwanej teraz przez ogoniastą sowę uralską, oznajmił nową katastrofę, napełniając strwożone serca nieopisanym lękiem. I znów nieszczęsne kuropatwy mknąć musiały w ciemną, zdradziecką noc grudniową, niepewne, czy znajdą gdziekolwiek bezpieczne dla snu schronienie.

Tak oto w krótkim czasie ubyły aż dwa ptaki z rozbitego gniazda. Jeżeli kilka następnych nocy będzie również tak tragicznych, zniknie do szczętu z pośród żywych cała bezbronna gromadka. A cóż dzień przyniesie?.. Czy z nastaniem słońca usypia złośliwe fatum?... Żali pewny jesteś kochany, szary ptaku, iż nie złapie cię niewidzialne dla twego oka sidło wnykarza, lub nie rozszarpie twoich piersi brutalny dziób jastrzębia?...

Do nisko, w głębi lasu położonego parowu weszły sarny: stara koza, rogacz i kilkoro młodzieży. Stojąc po kolana w śniegu, schylały się raz po raz ku wystającym gdzieniegdzie badylom zeschłych traw i gałązkom młodych drzew. Zimno i głód zaostrzyły ape-

tyt, ale trudno go zaspokoić, bowiem przemarzłe pędy roślin stały się gorzkie i twarde; brak im już tego doskonałego, soczystego smaku, który na jesieni był przecie taką rozkoszą dla sarniego podniebienia... W chwilowym bezruchu pogrążone zwierzęta, strzygąc jeno łyżkami i drobiąc cewkami, zdały się zastanawiać, czy snać nie opłaciłby się im dość zresztą długi truchcik do odległych krzewów ostrężyn z wiecznie zielonemi liśćmi, gdy wtem dał się słyszeć cichy chrzęst ostrożnie stopą miażdżonego śniegu oraz nikły i prawie niewyraźny szelest gałązek.

Wszystkie te słabe odgłosy, niosące się delikatnym szmerem poprzez bór, wstrząsają zawsze dreszczem trwogi płochliwe serca sarn... Tak było i teraz.

Przeczucie nieszczęścia rychło zmieniło się w straszną rzeczywistość, gdy opodal pośród wiech świerczyny zabłyszczała w cieniach, niby błędny ognik, para iskrzących się fosforycznie ślepiów, a za małą chwilę wypadł, jak piorun, bury wilk...



Wzdłuż linji. Fot. W. Korsak.

Sroga, widać, zima zagnała go w te właśnie strony, a wybrał się dobrze, w kilku bowiem susach dopadł młodej sarny, która w obłąkańczym strachu, goniąc wprost przed siebie, trafiła na zamarznięte bagno, a pośliznąwszy się, stała się łupem wyostrzonych głodem kłańców napastnika.

•

Z chaty, stojącej samotnie na skraju wsi, wysunął się wczesnym jeszcze wieczorem zgarbiony ludzki cień. Szedł chyłkiem, jak kot, kluczył, jak zając i oglądał się raz po raz poza siebie, ale widocznem było, że zmierza do lasu. Jakoż istotnie pochłonęły go wkrótce wykroty czarnego ostępu.

Z chwilą, kiedy znalazł się w lesie, przedsiębrane dotąd środki ostrożności wydały mu się snać już zbyteczne, bo raźnym krokiem i wyprostowany zaczął iść w znanym tylko sobie kierunku, omijając z prawdziwie zadziwiającą umiejętnością wszelkie drogi i ścieżyny leśne. A że od czasu do czasu przystawał nagle i zdawał się nasłuchiwać, poczem znów podążał szparko, przeto łatwo odgadłbyś w nim kłusownika.

Szedł na przygotowane stanowisko w rodzaju budki, skąd widać było doskonale całe przedpole z zastawioną przynętą: główkami kapusty i wiązkami koniczyny, okręconej dokoła dość wysokich, wbitych w śnieg palików. Chociaż nie było księżyca, bo siedział za chmurami, i gęsty już mrok panował wszędzie, jednak bystre oko złodzieja leśnego umiało wyborne odróżnić każdy zarys podchodzącej zwierzyny. Nieomylny także słuch zdala mu zwiastował, co idzie.

Niedługo czekał... Zaledwie bowiem ścichły ostatnie pogwary usypiającej wioski, przybiegł zając. Potem drugi, trzeci... Stanęły zdala, rozglądały się uważnie, wreszcie poczęły iść nieopatrznie ku przynęcie...

Ale dziw — żaden z nich nie zawisł w drucianem oku sidła, niewidocznie przymocowanem do wiązek paszy, żadnego nie powaliła strzelba kłusownika.

Czyżby dobrzy ludzie, współczując z dolą szaraków, wynieśli im umyślnie tę sutą, a tak pyszną zastawę?

Czy może serce dwunożnego rabusia, nagłą zdjęte litością, postanowiło od tej chwili zaniechać zbójeckich praktyk? Bo niepodobna, by nie zauważył zwinnych gryzoniów, chrupiących z apetytem rozstawione wiązki i liście. Widocznie jednak za mało ważna była to dlań dzisiaj zwierzyna i czekał na inną, skoro uparcie spoglądał w las, to znów na strzelbę, trzymając ją wciąż w pogotowiu.

Cisza... Wtem bystre ucho ukrytego w zasadzce człowieka złowiło słaby szelest.

„Jest" — pomyślał...

„Coś idzie" — wyrozumiały pasące się zające, gdyż momentalnie, jakby nieziemską mocą porwane, rozbiegły się na wszystkie strony.

Na brzegu lasu zachybotał jakiś cień. Zrazu nieruchomy, począł olbrzymieć, rosnąć jakgdyby w oczach. Widocznie biegł. Wkrótce można było dokładnie już widzieć, tuż przy pierwszych wiązkach koniczyny stojącego rogacza. Ledwo raz uszczknął trawy, rozległ się ostry, suchy strzał i zwierz padł, gdyby gromem rażony. Mordercza kula przeszyła serce kozła w momencie, gdy tak się radowało znalezieniem wonnej paszy...

Kiedy echo wystrzału zastygło w kniei, a nikogo widać nie było, ani też słychać żadnych podejrzanych chrzęstów, zbrodniarz wyszedł szybko z ukrycia i, uchwyciwszy zręcznym ruchem rogacza, zarzucił go na plecy. Niebawem biegł naprzełaj ku swej chacie, aby, pozbywszy się tam ciężaru, wrócić jeszcze do lasu i usunąć ślady niecnej kryjówki.

Na oskórowaniu i poćwiartowaniu zdobytego zwierza minie mu reszta nocy.

Za parę dni pójdzie znowu na łowy, tym razem z drutem i sidłami, by zbyt częstemi strzały nie zwrócić przypadkiem niepożądanej uwagi. Uplanował to sobie zawczasu...

•

Tak oto, gdy czasu zimnej nocy grudniowej zanurzeni w wygodny fotel siedzimy syci, w ciepłem mieszkaniu i gdy na dworze szaleje mroźna wichura, zapewne ani nam przez myśl nie przejdzie, co też w tej chwili dzieje się z naszą bezbronną zwierzyną. A przecież nie sposób wyliczyć tych wszystkich niebezpieczeństw, na które jest narażona i tępicieli, z którymi walczyć musi, aby wkońcu uledz przemocy zgłodniałej i krwi chciwej zgrai drapieżników, wyposażonych w ludzką przebiegłość, lub w ostrza kłów, zakrzywione szpony i pazury, w twarde, jak stal, dzioby i przeraźliwie świecące ślepia...

Sama zresztą zima z zawalnemi śniegami i mrozem, z wichurą i widmem głodu, czyż nie jest strasznym i bezlitosnym wrogiem czarnookich sarn, szybkonogich zajęcy, szarych kuropatw i ozdobnych bażantów?

Przyroda jest matką — to prawda — ale stać się może ona niekiedy i okrutną dla swych tworów — macochą!...

WŁADYSŁAW GURTLER.

Załączamy po 2 blankiety nadawcze P. K. O. Nr. 8.082 z uprzejmą prośbą o przekazanie należności za prenumeratę za dowolny okres roku 1935 oraz o łaskawe wręczenie drugiego blankietu zjednanemu przez siebie nowemu prenumeratorowi.

Administracja „Łowca Polskiego"

WYPRAWA NA POŁUDNIE ANGOLI.

(Ciąg dalszy).

Czwartek, 15 października.

Rano poszliśmy z Patrem oglądać minjaturowy ogródek, z którego Misja jest niezmiernie dumna, gdyż w tym bezwodnym kraju jarzynka, każde zdziebełko zieloności jest czemś niebywałem. Misja ma trochę wody, którą sprowadza pompą z pobliskiego „Cassimba", jedynej studni na całą okolicę. Do niej też schodzą się miejscowi murzyni i zdaleka pędzone bydło — po wodę. Ponieważ w tej stronie cała trawa jest już zjedzona, bydło pasie się bardzo daleko i musi tak długo iść do wodopoju, że właściwie może pić raz na trzy dni. A jest to właśnie koniec suchej pory, okres z całego roku najgorszy, tu zaś, na południu, deszcze przychodzą o wiele później, niż na płaskowzgórzu, bo dopiero około grudnia (deszcze, które spotykały nas po drodze, były tylko przelotne i nie zaliczały się do „mokrej pory"). Mimo tych złych warunków, bydło tu jednak wygląda nieźle. Mówił nam Pater, że w tych okolicach, ze względu na brak wody, o ile murzyn zaprasza kogoś do siebie na posiłek, to najprzód pyta, czy gość chce napić się wody, czy na niej coś gotować: musi wybierać, bo do podwójnego użytku wody nie starczy...

Oprócz licznych stad bydła, które schodziły się do wodopoju, widzieliśmy dużo ładnych kóz, kilka osłów i mułów oraz zwierzęta dawno przez nas niewidziane, to jest konie; nieduże, lecz zgrabne i ładne, pochodzące od Boerów.

Tymczasem z kupnem krów zaczynają się rozmaite trudności i, jak mówi Michał, „zdaje się łatwiej będzie o lwa, niż o krowy". Krów jest tu mnóstwo, a jednak... trudno je kupić. Murzyni nie sprzedają bydła z zasady, chyba gdy są zmuszeni płacić *imposto* (podatek), lub gdy przyciśnie ich wyjątkowa bieda. Dumni są ze swego bydła, rzadko zabijają je na jedzenie i dopiero, kiedy stara sztuka zdechnie, urządzają wielką ucztę, na którą zapraszają sąsiadów, jako na święto, że „bydlę padło samo, doczekawszy się później starości". Bydło jest dla owych murzynów wszystkiem: pieniądzem, posagiem, pożywieniem, mleka bowiem piją tu masę. Dlatego też pewno są tak dobrze zbudowani, silni i tłuści. Ponieważ nie mają oliwy palmowej, więc na „omastę" używają śmietany, namaszczają nią również ciało, które całe lśni od niej. Kobiety smarują włosy (które strasznie czuć zjełczałą śmietaną), ułożone na głowie w formie olbrzymich, jakby rzymskich, kasków, reszta włosów sterczy w dwóch twardych warkoczykach koło brody i w grubym naszyjniku koło szyi. O ile włosów na to za mało, a rzeczywiście na takie uczesanie trzeba ich sporo, kobiety kupują je od mężczyzn, którzy bardzo chętnie je obcinają i dobrze sprzedają.

Jest tu ciekawy zwyczaj, że biali właściciele krów muszą kupować mleko od swoich własnych pastuchów, którzy nie dostają zapłaty za opiekę nad bydłem (płaci się za nich tylko podatek, 80 angolarów od murzyna rocznie), ale zato mogą sobie zabierać całe mleko. Ponieważ biali kupcy, którzy mają tu liczne stada, choć dosyć rozproszone, żądają za nie drogo, więc trzeba długo siedzieć na miejscu i kupować, targować się i czekać na spędzane bydło, na co my nie mieliśmy czasu. Umówiliśmy się więc z jednym kupcem, że będzie dla nas powoli skupywać krowy, po które następnym razem przyjedziemy. Trochę to było dla nas kłopotliwe, ale na południu długo nie mogliśmy siedzieć, bo u nas na płaskowzgórzu rozpoczęła się już mokra pora i czekało mnóstwo roboty.

Przed obiadem pojechaliśmy z Patrem do niedalekiej wioski, gdzie mieszka czarna królowa „*Suaviti*", władczyni tutejszego plemienia. Jeżeli imię to przypomina coś „*de suave*", coś miłego, delikatnego, *une grace celeste, pleine de douceur*, to monarchini ta musi rozproszyć podobne przypuszczenia. Potężna, stara murzynka (około 80 lat), o ciężkich i obfitych kształtach (podobno waży 120 kilo), cała błyszcząca od tłuszczu, przyszła do nas w towarzystwie swego wnuka i prawnuka. Mimo swej tuszy, ruchy jej i postawa są pełne godności i prawdziwie królewskiego majestatu. Bardzo uprzejmie pozwoliła nam się oglądać, rozmawiała z Patrem, wreszcie pozowała do fotografji. Mówiła, że zna już podobne „maszyny", bo dużo osób ją już fotografowało, lecz skarżyła się, że nikt jej nie przysłał odbitki. Prosiła tylko, żeby prędko ją fotografować, bo za gorąco jest na słońcu. A cóż mówić o nas, skoro murzyni skarżą się na upał!

Prawnuczek królowej miał na szyi sznureczek z nawleczonemi kawałkami uszu bydlęcych, żeby zaznaczyć, ile jego ojciec ma sztuk bydła.



Uczesanie murzynek z okolic Humbi.

Wracając do domu, mówił mi Pater, że jeden z synów królowej zginął w bitwie z Portugalczykami, w której to murzyni zrobili zasadzkę z ciernistych krzaków. Mówił nam też, że królowa ma ogromny wpływ i władzę nad swojem plemieniem i nic się bez jej wiedzy i zgody nie dzieje. Podczas obiadu w Misji opowiadał nam jeszcze Pater wiele ciekawych rzeczy z życia i obyczajów tamtejszych murzynów. Jest to plemię *Va-N'kumbi*. Walczyło ono często z plemionami z płaskowzgórza, które nazywają *Va-nano*, czyli: ludzie północy. Jeden ze szczepów Va-N'kumbi wybija sobie po dwa przednie zęby, więc żeby mówić ich językiem, trzebaby także wybić sobie dwa zęby, bez tego bowiem nie można wymówić niektórych ich wyrazów. Ładna perspektywa! Takie wybijanie zębów jest uroczystem świętem i odbywa się w dzień pełnoletności dziecka (która jest o wiele wcześniejsza, niż u białych). Na taką uroczystość zbiera się cała wioska i za każdy wybity ząb „solenizant" dostaje od rodziny jednego wołu. Są nawet tacy amatorzy, którzy wybijają sobie 4 zęby, aby dostać więcej wołów.

Po obiedzie, pożegnawszy się serdecznie z Patrem, pojechaliśmy do Humbi, dokąd nas bardzo uprzejmie zaprosił administrator na noc. Zrzuciwszy nasz bagaż, pojechaliśmy „na lekko" 30 km. drogą w stronę „*Ruacana*". Jest to oddalone o 180 km. „Posto" na granicy Angoli i dzisiejszej kolonji angielskiej. Jest tam śliczny 40-metrowy wodospad, wśród ładnych i dzikich gór. Słyszeliśmy to tylko z opowiadania, gdyż tam nie dojechaliśmy. Udaliśmy się tylko w tę stronę, aby zobaczyć jakąś zwierzynę, ale było już dosyć późno, co żyło przeto, było nad rzeką. Zjechaliśmy z drogi w *matu* (las), co było trochę trudne dla kamionety, należało bowiem prześlizgiwać się wśród drzew, poprzez pnie, dziury i kamienie. Zro-

biło się już dobrze szaro, gdy zobaczyliśmy migające wśród drzew stado zebr. Ich szare, pręgowane ciała zlewały się z ogólną szarością tak, że mimo kilku strzałów nikt nic nie zabił. Zaczęliśmy zawracać i dostaliśmy się na drogę już zupełnie po ciemku. Ponieważ kamioneta zaopatrzona była w świetny reflektor (zdjęty ze „Starego"), więc droga po nocy była nawet bardzo ciekawa.

Coraz to błyskały w gąszczu zielone lub czerwone ogniki oczów antylopy, szakala, lub innych jakichś stworów. Jednak nawet przy dobrem świetle trudno jest, gdy się nie ma wprawy, trafić, więc zabiliśmy tylko jedną antylopę, ale i ta bardzo przydała się na kolację. Raz zabłysnęły nam ogromne oczy, jak latarnie — myśleliśmy, że to przynajmniej jakaś „*onsa*" (lampart), lub inny dziki kot, lecz okazało się, że to wielka pręgowana hjena, która, złapana w światło reflektora, stała długo, jak zahypnotyzowana. Dojeżdżając do Humbi, zobaczyliśmy migające przy ziemi liczne, ruchome, czerwone ogniki. Kiedy stanęliśmy, aby się przyjrzeć, co to takiego, skonstatowaliśmy, że jest to jakby rodzaj kangurków wielkości zająca. Nie wiem, czy stworzenie to rzeczywiście należy do rodziny kangurów (po francusku, zdaje się, nazywają się one „*gerboise*" — Larousse): mają bardzo długie tylne nogi, a przednie tak krótkie, że ich prawie nie widać *(genre de mammifère rongeutres et sauteurs)*. Wydaje się, że taki stwór nie umie prędko biegać. Jadący z nami mulat puścił na ziemię swego psa i wtedy kangurki pokazały, co umieją... Na długich swoich nogach, w ogromnych susach uciekły mu z przed nosa. W każdym razie są one szalenie milutkie i nazwaliśmy je: „nasi przyjaciele". Jeżdżąc po nocy, widywaliśmy je często.

Tego dnia nocowaliśmy w administracji i spaliśmy fatalnie z powodu strasznej duszności powietrza.



Przeprawa przez rzekę Cunene.

Piątek, 16 października.

Dziś rano mówił nam administrator, że, jak mu donieśli murzyni, o 2 km od Humbi przeszło stado słoni, złożone podobno z 50 sztuk. Ale dla nas była to obojętna nowina, bo i tak na polowanie na słonie trzeba mieć specjalną „licencję" (pozwolenie), które kosztuje pięć tysięcy angolarów za 2 sztuki.

Naładowawszy kamionetę, wyruszyliśmy z Humbi, aby się przeprawić na drugą stronę Cunene. Jechał z nami właśnie ów mulat, Joakim d'Almeida, który jest zapalonym myśliwym i podobno zna całą okolicę. Dojechaliśmy do brodu i tam kamioneta ostrożnie wjechała na prom. Wjeżdżanie takie, żeby dobrze trafić na dwie deski, jest dosyć emocjonujące, lecz Michał tak się już wprawił do jazdy w takich okolicznościach, że niewiele robił sobie z tego. Najtrudniejsze było windowanie się bezpośrednio po zjechaniu z promu, prawie pionowo, na bardzo z tamtej strony wysoki brzeg Cunene. Na tym stromym brzegu, dominując nad całą okolicą, wznosi się czujna i obronna forteca portugalska „Rocadas". Przejechawszy koło niej, dostaliśmy się na bardzo złą i piaszczystą drogę. Upał był wielki i posuwaliśmy się bardzo powoli. Jechaliśmy ciągle w górę rzeki, zapuszczając się w ten kraj, zdobyty dopiero w 1916 roku przez Portugalczyków. Jadąc po rozmaitych wertepach i trudnych przejazdach, zrobiliśmy tylko 60 kilometrów, a ponieważ już się ściemniało, rozbiliśmy nasz obóz na noc „pod baobabem".

Sobota, 17 października.

Rano odbyliśmy naradę z miejscowym murzynem - myśliwym, który jakoby wiedział doskonale, gdzie jest dużo zwierzyny i obiecywał, że nas zaprowadzi „na lwa". Tymczasem miał nam pokazać w lesie małe „cassimbo", gdzie zbiera się zwierzyna u wody. Za jego namową pojechaliśmy autem, bo twierdził, że „jest niedaleko i można łatwo przejechać". Wziął jednak dla pewności „Buszmena", którzy świetnie znają „brussę" i doskonale się orjentują.

Ci Buszmeni — to zupełnie inna rasa murzyńska. Mają skórę o wiele jaśniejszą i więcej żółtą, są bardzo mali, drobni i brzydcy, podobni trochę do Chińczyków. Żyją bardzo pierwotnie, ciągle koczują, chronią się w szałasach, skleconych naprędce z gałęzi. Niczem się nie zajmują, a jedzą tylko miód dzikich pszczół i mięso, osiągnięte z polowania. Są przebiegli i bardzo sprytni i, jak twierdzą inni murzyni, bardzo złośliwi. Mają swoją własną mowę i słowa przeplatają częstem kląskaniem, co bardzo śmiesznie wygląda.

Jest też inna rasa murzyńska, to Hotentoci, lecz tych prawie niema w Angoli, zato znajduje się ich dużo w Süd-West Afryce. Są oni podobno bardzo dumni i mawiają o sobie, że są „pierwsi z pierwszych", a o Buszmenach mówią, że to są tylko ich „pachołki".

Otóż nasz murzyn-myśliwy zaprowadził nas w ładne haszcze. Rzeczywiście było to niedaleko, bo tylko o 10 km., ale droga zupełnie nie dla auta, toteż każdy kilometr jechaliśmy po 15 minut. Drogi tu właściwie wogóle nie było, tylko splot krzaków, traw i drzewek tak wielki, że zupełnie tamowały one ruch auta. Gdzieniegdzie wpadaliśmy w taki labirynt, że trudno było się przecisnąć, murzyni musieli torować drogę, usuwać zwalone pnie, rozsuwać gałęzie i krzaki. Tam znowu, gdzie była wolna przestrzeń, wpadaliśmy odrazu w piach. Jechaliśmy prawie ciągle pierwszym biegiem; Michał złościł się i klął, bo ogromne kolce właziły w opony, a motor tak się grzał, że musieliśmy co chwila stawać i dolewać wody, co spowodowało, że, mimo zapasu, jaki mieliśmy ze sobą, po 10-ciu kilometrach zabrakło nam jej zupełnie. Ale niedaleko już było owo „cassimbo", w którem miała być woda. Poszliśmy tam z murzynami; w lesie spotykaliśmy masę śladów zwierzyny, ale, przyszedłszy do owego jeziorka, nie zastaliśmy ani wody, ani zwierzyny.

Wszystkie stworzenia zaszyły się gdzieś w gąszcze, aby przeczekać upalne godziny dnia, a co do wody — wyschła ona prawie zupełnie, na dnie było tylko trochę cuchnącego błota. Michał był strasznie zły, bo takie błotko nie mogło służyć do chłodnicy. Po długich debatach wysłaliśmy owego Buszmena i naszego Faustina z bańkami po wodę aż do naszego „campamentu", a sami, źli, jak osy, umieściliśmy się w jedynym cieniu, to jest pod kamionetą i tam czekaliśmy długie 3 godziny, aż nasi murzyni wrócą z wodą.

Przez ten czas inni murzyni, którzy zostali z nami, opowiadali sobie, a Joakim przetłomaczył nam, historję pewnego kupca, Portugalczyka, który dwa lata temu wybrał się samotnie w „brussę" z jednym tylko murzynem i Buszmenem. Otóż po jakimś czasie zabłądzili i zbrakło im wody. Wówczas biały wysłał Buszmena po wodę, a sam czekał z murzynem. Kiedy Buszmen powrócił na owo miejsce (jak sam twierdził), zastał murzyna zabitego, a biały gdzieś znikł...

Buszmen przypuszczał, że pewno umarł z głodu lub pragnienia, albo pożarły go może dzikie zwierzęta. Lecz inni murzyni twierdzą, że to pewno właśnie ów Buszmen zabił białego, żeby zdobyć jego strzelbę. Wogóle jest to sprawa tajemnicza i dotąd, mimo śledztwa, niewyjaśniona.

Słuchając tej i podobnych historyj, doczekaliśmy się wreszcie naszych wysłanników, kamioneta mogła się wkońcu napić i ruszyliśmy w powrotną drogę. Po drodze pokazali nam na piasku odcisk lwiej łapy, lecz ślad ten wyglądał na bardzo stary. I znów zaczęła się ta sama historja z przepychaniem kamionety przez gąszcze, przypuśćmy niby już „lepszą drogą", w każdym razie jednak działo się to już po południu, więc było trochę chłodniej. Widzieliśmy kilka stad antylop, przeważnie „Kudu", o wspaniałych, rozłożystych rogach, lecz za daleko dla strzału. Przytem kamioneta tak hałasowała, że mogła rzeczywiście wystraszyć wszystko na kilka kilometrów wokoło.

Wogóle to polowanie z auta w takim gąszczu wydawało się od początku bardzo problematyczne i Michał twierdził, że tylko piechotą lub konno można coś podejść. Już niedaleko domu p. Dekański zabił Kudu (po tutejszemu *onżyri*). Ogromna sztuka zajęła prawie całą kamionetę. Przyjechaliśmy do domu, Michał odgrażał się, że na taką wyprawę nie da się już więcej namówić, bo, jako prowadzącemu auto, ta jazda najwięcej dała mu się we znaki.

Tymczasem p. Dekański chciał koniecznie wybrać się na lwa, ale ów murzyn - przewodnik tłomaczył, że się okropnie zmęczył, że już późno, — jednem słowem wykręcał się jak mógł od tej wyprawy, choć rano jeszcze twierdził, że to bardzo łatwo polować na lwa i że, siedząc poprzedniej nocy na drzewie, „widział" dwa lwy. W każdym razie murzyni mają respekt przed „panem"—lwem.

Niedziela, 18 października.

Pan Dekański wybrał się raniutko na polowanie, z którego przyniósł dwie antylopy, zupełnie podobne do osłów, nawet tak je nazywają. Portugalczycy: „*buru de matu*" — osioł leśny.

Potem wybraliśmy się piechotą nad Cunene na krokodyla. Zeszliśmy na sam brzeg i wśród szuwarów czekaliśmy, aż zaczną wyłazić na piaszczyste łachy. Siedzieliśmy cichutko, obserwując ruch na rzece. Niebo, woda — wszystko było błękitne i ciche, jakby uśpione przez gorąco. Nad samym brzegiem i po łachach spacerowały błotne ptaki, a inne, o bardzo długich ogonach, siedziały nieruchomo na pobliskich krzakach, jakby na coś czekając i upatrując. Lecz rzeka wszędzie była spokojna, krokodyle nie wyłaziły wcale na brzeg i nawet pod wodą nie było znać żadnego ruchu.

Wreszcie zobaczyliśmy pod powierzchnią niewyraźny cień, który poruszał się dosyć szybko. Michał strzelił, a krokodyl — gdyż on to był — szarpnął się, rzucił, zakręcił, woda zakotłowała się dokoła i... tyleśmy go widzieli. Malutkie fałki rozbiegły się na wszystkie strony, wreszcie uspokoiło się wszystko i wróciło do sennej ciszy. Ale mądre krokodyle pochowały się głęboko. Czekaliśmy potem jeszcze dosyć długo, ale nic już nie zobaczyliśmy.

Wracając lasem, zauważyliśmy kilka szałasów Buszmenów, więc zaszliśmy do nich. Były tam same kobiety i dzieci, pochowały się jednak w gałęzie i stamtąd, jak dzikie zwierzęta, patrzały niechętnie i nieufnie. Po długich namowach udało się wreszcie naszemu murzynowi nakłonić je do wyjścia z szałasu. Najprzód wylazła mała, stara, pomarszczona Buszmenka, dostała od nas papierosa, a wtedy i pozostałe zaczęły powoli wypełzać ze swych kryjówek. Po długich perswazjach namówiliśmy je, aby poszły z nami do naszego obozu, gdyż chcieliśmy je sfotografować, a za to dostaną soli. Po długich między sobą debatach, przeplatanych owem śmiesznem kląskaniem, odważyły się pójść z nami. Po drodze zatrzymaliśmy się w chacie naszego przewodnika murzyna, gdzie żona jego poczęstowała nas doskonałym, chłodnym napojem „*massambala*", wyrabianym z sorgo, a przypominającym kwas. Na naszym płaskowzgórzu murzyni robią coś podobnego, nazywa się to „*czimbombo*", jest mniej smaczne, ale zato również dobre na ugaszenie pragnienia (robią je z mąki kukurydzianej i często tem się upijają).

Wróciwszy do domu i sfotografowawszy miejscowe „piękności", Michał prowadził handel z murzynami na jajka strusie. Przynieśli nam 15 tych ogromnych jaj, po 3 angolary sztuka. Inny murzyn przyniósł do wymienienia na angolary angielskiego funta z Union Sud Africaina.

Po obiedzie był tak straszny upał, że przeleżeliśmy bez ruchu w namiocie aż do 4-ej po południu, kiedy wreszcie zaczęło się trochę ochładzać. Poszliśmy wtedy do miejscowego czarownika. Olbrzymi murzyn, o przebiegłych i chytrych oczach, cały był obwieszony amuletami, z których jeden był specjalny od „pana lwa". Pokazał nam swoje „drzewo fetyszów"; jest to pal, na którym wiszą rozmaite fetysze i amulety, skóry i rogi zabitych zwierząt. Wszystko pokropione kilkoma kroplami świeżej krwi z nowej ofiary. Obok stoi oparta przedpotopowa strzelba, z której właściciel jest bardzo dumny.



Miejscowe piękności (Buszmenki)

Pod wieczór zaczęliśmy się umawiać na owego słynnego lwa, ale nasz murzyn i tym razem okropnie się wykręcał, a wreszcie powiedział, że nie może nas zaprowadzić na „swoje drzewo", gdzie czatuje w nocy na zwierzynę, gdyż biali mogą z niego zlecieć, a wtedy powiedzą, że to wina murzyna i „*Mane-Putu*", czyli Chef de Posto zamknie go za to do kozy. Michał powiedział mu, że jest wielki łajdak, ale w gruncie rzeczy uważał, że murzyn jest bardzo przezorny.

Wogóle z tutejszymi murzynami bardzo trudno jest dojść do ładu, są strasznie przebiegli i chytrzy, a byle czem się ich nie zjedna. Domagają się ciągle „*matabiszu*" (napiwka), a nic za to nie chcą robić. Jednem słowem „wielkie" nasze polowanie wypadło dość nędznie. Pan Dekański jeszcze się łudził i wraz z Joakimem pojechał kamionetę, zbrojną w reflektor, do lasu na całą noc, ale wogóle nic nie widzieli i, zdaje się, że lwy w tej okolicy, to był tylko pomysł naszego poczciwego Joakima i tego murzyna - myśliwego.

Ano trudno, nie przejmowaliśmy się zbytnio tem wszystkiem. Byli ludzie, którzy mieszkali przez 40 lat w Angoli i lwa nie widzieli, a jeden pasażer, jadący pierwszy raz przez Angolę, usłyszał odrazu jego ryk. To jest już tylko los szczęścia i przypadek.

Poniedziałek, 19 października.

Postanowiliśmy wracać z powrotem na tamtą stronę Cunene. Po złożeniu obozu wyruszyliśmy dopiero o 10-ej rano, a powrotna droga wydawała się

nam już o wiele krótszą i w porównaniu z jazdą po brussie naprawdę lepszą.

Już niedaleko Cunene zobaczyliśmy stado prześlicznych antylop „Impala", nadzwyczaj zgrabnych i wspaniale skaczących. Ale strzelać do nich było bardzo trudno, bo uciekały w takie gąszcze, po których kamioneta jechać już naprawdę nie mogła.



Antylopa Kudu.

Nad brzegiem Cunene musieliśmy czekać dosyć długo, bo przeprawiała się właśnie inna, bardzo naładowana kamioneta i nie mogła się wywindować. Przybywszy do Humbi i zaopatrzywszy się w chleb w miejscowym sklepiku, pojechaliśmy znowu drogą do Raucana. Po ujechaniu około 30 km., skręciliśmy w las. Z początku drzewa były dość gęste, powoli jednak zaczęły się rozstępować w szersze koliska, otaczające prześliczne łąki, pokryte bujną, choć już żółtą trawą. Drzewa tylko były zieleńsze i tworzyły malownicze grupy, a cała lekko falista okolica, ze swemi drzewami, krzewami, łączkami, przypominała jakieś wspaniałe, dzikie parki. Jechaliśmy dość długo, kierując się ciągle w stronę rzeki, lecz słońce bardzo szybko uciekało z horyzontu i szare cienie już padały wkoło, gdy ujrzeliśmy pierwsze stado zebr. Było ich ze 30 sztuk, lecz ponieważ było już za ciemno na strzelanie, a szkoda ranić zwierząt, zatrzymaliśmy auto, a zebry, jak na jakiejś defiladzie, przebiegły przed nami śliczne i chybkie. Nie ujechaliśmy nawet pół kilometra, gdy nagle z drugiej strony ukazało się drugie i trzecie stado, a połączywszy się w jedną wielką gromadą, liczącą około 100 sztuk, biedz poczęło równolegle do nas. Ponieważ jest stwierdzone, że zebra przebiega przeciętnie 40 km. na godzinę i ponieważ przestrzeń ta była wolna od drzew, jechaliśmy z niemi razem. Dogoniliśmy też niedługo naczelne zebry i zaczęliśmy się do nich zbliżać, wówczas one wciąż galopując, jedna za drugą poczęły zataczać koło i biegły tak dalej już półkolem, co zupełnie przypominało tresowanie konie na arenie cyrkowej. Lecz o ileż to było bardziej emoncjonujące i fascynujące, że tę arenę tworzyła bujna łąka wśród dzikiej brussy afrykańskiej, a zebry wolne i w swoim żywiole wykonywały nieprzymuszone ewolucje, migając w zapadających ciemnościach swemi pręgowanemi ciałami. Był to jakby wspaniały karuzel zebr w sercu dzikiej puszczy.

Noc jednak zapadła i musieliśmy myśleć o noclegu. Postanowiliśmy nie rozbijać wcale namiotu, żeby nie zabierać sobie tem czasu, rozłożyliśmy tylko polowe łóżka koło kamionety dla przespania się trochę w ubraniu. Wkrótce zapłonął wesoły ogień, pożywiliśmy się doskonałemi pentarkami z chlebem i herbatą i poszliśmy spać. Ale łatwo to powiedzieć: spać, gdy noc czarnowna, pachnąca i ciepła, a od drzew i krzaków dochodzą jakieś odgłosy, szmery, szepty, tysiączne nocne głosy nigdy nieusypiającej brussy. Z za drzew wysunął się przytem cichy księżyc i, świecąc prosto w oczy, trzymał każdego z nas pod swem magnetycznem spojrzeniem. Na tle jasnego nieba rysowały się ostre gałęzie i konary drzew, rzucając dokoła fantastyczne cienie. Wszystkie gwiazdy błyszczały na niebie wyraziście i wspaniale, a „Krzyż południowy" wychylał z pośród drzew swą świetlistą konstelację.

Nagle niedaleko usłyszeliśmy głośne szczekanie. Cóż to? czyżby jakieś dzikie psy znajdowały się tutaj, a może to szakale lub hjeny? Lecz Joakim objaśnił nas, że to zebry tak się nawołują. Ciekawe — nigdy nie myśleliśmy, że zebry szczekają, jak psy.

Przy tych rozmyślaniach zasnęliśmy wreszcie, lecz sen był czujny, niespokojny, coraz ktoś kręcił się na łóżku i mimowoli nastuchiwał. Było już dobrze po północy, kiedy wszystkich zelektryzował nowy hałas. Oto z ciemności, bo księżyc już zaszedł, dochodziły nas głuche uderzenia i trzask, gniewne dudnienie i odgłos walki. Były to podobno dwa byki antylopy Gnu, które wśród nieprzeniknionych ciemności toczyły ze sobą zajadły bój. Słychać było łamanie gałązek, trzask i uderzenia rogów, gniewny pomruk i parskanie, chwilami zalegała cisza, potem znów — głuche uderzenia racic, znów trzask i łomot i jeszcze zawziętszy gniew po chwilowej przerwie. Wreszcie zmęczyły się pewno, lub może silniejszy pokonał słabszego, ucichły bowiem echa walki, oddalił się trzask gałązek i wszystko wróciło do poprzedniego spokoju.

(Dok. nast.).

MARJA ZAMOYSKA.

MARZYCIEL.

(Bajka).

Łowy — jest to sport dawny, piękny i godziwy...
Nic przeto w tem dziwnego, że pewien myśliwy,
Gdy naganka szła w dali z hałasem i hukiem,
Na stanowisku z bronią tkwił sobie pod bukiem.
— Kto on zacz? zapytacie. Bez zmrużenia powiek
Można o nim powiedzieć: bardzo miły człowiek,
Tylko nieco marzyciel, nieco utopista,
Myśliwy dość nietęgi — lepszy parnasista.
„Jakby to było pięknie" — myśli, przesłaniając
Rozkoszną mgiełką oczy — „gdyby jaki zając
Wybiegł z krzaków i słupkiem na tamtym pagórku
Stanął sobie, podumał — później, jak po sznurku,
Pokicał prosto na strzał — tuż pod nogi;
Tubym go ubił... Ach... Boże mój drogi!
A tu drugi wolniutko sunie w starym tropie,
Więc go nieco wypuszczam i z lewki go kropię!
Wszyscy się wnet zbiegli — nielada sensacja:
Jest dublecik do kotów... więc zaraz owacja;
Sam starosta manierkę swoją mi podaje
Z koniakiem... ten i ów udaje,
Że go cieszy mój triumf"...
I gdy tak hałtuje,
Sapie z dumy radosnej i dalszy ciąg snuje —
Lis stary, mając ztyłu wrzawę,
Zdecydował się przemknąć przez myśliwych ławę
I przyczaił się chytrze niemal tuż pod bokiem
Naszego marzyciela — nagle jednym skokiem
Przesadził przez polankę i hajda! na lasy,
Ku swej rodzimej norze — na słodkie wywczasy.
Myśliwy zdębiał... Cóż się stąd wyłania?
Wprawdzie żadna ustawa marzyć nie zabrania,
Marzyć jest wolno i zawsze, i wszędzie —
Ale na świecie tak się jakoś przędzie,
Że, krótko się streszczając (na bok kompromisy!),
Kto we łbie ma zajączki — ten przegapia lisy!

EDWARD NIEDZIAŁKOWSKI.

MYŚLIWSKA STACJA BADAWCZA.

Przy Centrum Wyszkolenia Piechoty w Rembertowie powstała Stacja Badawcza dla broni i amunicji myśliwskiej i sportowej, jako organ Polskiego Związku Stowarzyszeń Łowieckich.

Niepotrzeba się rozwodzić nad znaczeniem powstania Stacji Badawczej; jest ona doskonale przez wszystkich myśliwych rozumiana, czego dowodem są liczne głosy, wypowiadane nietylko prywatnie, lecz także na łamach „Łowca Polskiego".

Czasy najzupełniej indywidualnego i niezorganizowanego myślistwa minęły bezpowrotnie. Minęły — gdyż wytworzone nowe warunki życia zbiorowego narzuciły potrzebę organizacji, potrzebę ujęcia łowiectwa w nowe ramy i przepisy, gwarantujące z jednej strony wogóle możność uprawiania myślistwa, a z drugiej możność doskonalenia się w niem.

W obecnych czasach myślistwo jest zbyt poważną gałęzią gospodarki narodowej i zbyt silnie związane z żywotnemi interesami narodu, aby mogło być puszczone samopas; z drugiej strony myśliwi mają prawo oczekiwać od organizacji pewnych wskazówek i wyjaśnień problemów, których poszczególny a z drugiej — możność doskonalenia się w niem.

Polski Związek Stowarzyszeń Łowieckich, jednoczący w swych szeregach znaczną liczbę organizacyj myśliwskich w Polsce, tworzy ogólne ramy organizacyjne, stanowiące normy prawne, konieczne przy każdej działalności zbiorowej i przestrzegające jej wykonania, postanowił zwrócić także uwagę na stronę techniczno-dydaktyczną myślistwa, aby drogą przeprowadzania prac badawczych i podawania ich do wiadomości ogółu oraz drogą doraźnej pomocy technicznej, okazywanej myśliwym, umożliwić osiągnięcie jak najlepszych wyników w kunszcie myśliwskim.

W tym celu stworzona została Stacja Badawcza, mająca zadania podobne do zadań instytucyj, dawno powołanych do życia we wszystkich większych państwach europejskich, gdzie podobne stacje pracują na szeroką skalę i bardzo wydajnie, czego dowodem jest rozwój takich instytucyj, jak Halensee w Niemczech, Liège w Belgji i t. p.

Trzeba przyznać, że teoretyczna i techniczna strona strzału jest mało znana ogółowi myśliwych. Na zasadzie choćby najdłuższej pracy, ale dzięki obserwacjom z konieczności powierzchownym, powstawały wśród myśliwych pewne prawa strzału, prawa o tyle liczne, o ile rozbieżne. Dla przeprowadzenia bowiem gruntownych prac, w całem tego słowa znaczeniu badawczych, konieczną jest różnoraka i droga aparatura badawcza, i wyszkolony pracownik, posiadający nietylko znajomość operowania aparaturą, lecz także teoretyczne podstawy naukowe, umożliwiające wyciąganie wniosków z doświadczeń.

Z tego właśnie względu Stacja Badawcza chwilowo została zorganizowana przy C. Wyszk. Piech., które mogło udzielić zarówno pomocy wykwalifikowanych pracowników, jak też i aparatury, będącej w posiadaniu Centrum. Aparaturę specjalną zakupiono z subsydjów wytwórni amunicji myśliwskiej, zainteresowanych w istnieniu Stacji.

Regulamin Stacji Badawczej, w części interesującej ogół myśliwych, wygląda następująco:

1) Nazwa instytucji brzmi: „Stacja Badawcza Polskiego Związku Stowarzyszeń Łowieckich dla broni i amunicji myśliwskiej i sportowej". Siedzibą jej jest Centrum Wyszkolenia Piechoty w Rembertowie.

2) Celem Stacji Badawczej jest praca nad techniczną stroną strzału myśliwskiego i sportowego, dobieranie, badanie, opinjowanie i polecanie sprzętu — broni i amunicji oraz jej elementów; badanie wytwórczości krajowej i porównywanie jej z najnowszemi zdobyczami w tej dziedzinie zagranicą oraz koordynowanie pracy wytwórni poszczególnych elementów amunicji.

3) Prace badawcze Stacji obejmują:

— śledzenie postępów, osiągniętych w dziedzinach technicznych strzelectwa i łowiectwa zagranicą, przy pomocy prenumerowania i studjowania odpowiednich czasopism i publikacyj oraz kontrola podawanych wyników przez badania własne;

— badanie broni myśliwskiej i sportowej, amunicji i jej elementów składowych przez określanie ich właściwości (szybkość początkowa, ciśnienie, przebijalność (penetracja), pokrycie, odrzut i t. p.);

— badanie wad i błędów broni i amunicji oraz wyjaśnianie ich przyczyn;

— badanie przyczyn nadmiernego zużycia broni i sposobów jej konserwacji (czyszczenie, odoławianie).

4) Stacja Badawcza przeprowadza badanie fabrykatów wytwórni krajowych z inicjatywy własnej oraz na zlecenie tych wytwórni.



Pawilon myśliwski w Karpatach. Fot. J. Donimirski.

Stacja Badawcza podaje do wiadomości wytwórni wyniki swych badań oraz na zasadzie wyników badań wysuwa postulaty odnośnie zmian w dalszej produkcji.

5) Stacja Badawcza pracuje w ścisłej łączności z P. Z. S. Ł. przez delegatów Związku oraz pozostaje w kontakcie z wszystkiemi stowarzyszeniami strzeleckiemi w kraju. Wykonuje prace na tematy zgłoszone do stowarzyszeń oraz udziela porad technicznych.

6) Stacja Badawcza pozwala poszczególnym strzelcom oceniać swą broń i amunicję, czy to przez udostępnienie im aparatury badawczej, czy przez wykonanie badań na ich zlecenie. Stacja Badawcza pozostaje w łączności z poszczególnymi strzelcami przez publikacje swych prac w czasopismach fachowych, oraz udzielanie rad i wskazówek.

Regulamin ten bliższych wyjaśnień nie wymaga. Należy tylko zaznaczyć, że ze względu na wykańczanie prac organizacyjnych i wstępno - badawczych Stacja Badawcza będzie mogła przystąpić do oceny broni

poszczególnych myśliwych dopiero od 1 lutego roku przyszłego. Kierownictwo Stacji Badawczej liczy się zresztą z tem, że prace te i tak będą napływały dopiero po zakończeniu sezonu polowań zimowych. Zasady, na jakich oparte będą badania broni oraz ceny badań, podane zostaną później.

Jak z przytoczonej części regulaminu wynika, Stacja Badawcza ma postawione bardzo obszerne zadania. Całkowitego jednak rozwoju tych prac nie należy się spodziewać natychmiast; będą one realizowane etapami, zależnie od wagi zagadnienia oraz materjalnej możności jego realizacji.

W każdym razie na pierwszy ogień pójdzie broń i amunicja śrutowa, prace nad któremi już zostały rozpoczęte. Poniżej podajemy szczegółowy program prac pierwszego okresu, które już są w toku.

Okres ten poświęcony będzie pracom podstawowym, które dotychczas w kraju prowadzone nie były, literatura zagraniczna zaś podaje o nich dość skąpe dane, a przeprowadzenie ich ma zasadnicze znaczenie zarówno dla dalszych prac Stacji, jak i utylitarne dla myśliwych. Ogólnie można powiedzieć, że prace te obejmować będą „zgrywanie ze sobą" wszystkich elementów naboju myśliwskiego. Wiadomo bowiem dobrze, jak fatalny wpływ na nabój, a nawet na broń może mieć naprzykład spłonka niedobrana do prochu, lub nabój niedobrany do broni.

Do tego celu oczywiście koniecznem jest poznanie i wyświetlenie wpływów poszczególnych elementów naboju (łuski, spłonki, prochu, śrutu, przybitki i t. d.) oraz sposobu elaboracji amunicji na efektywną wydajność strzału. Ta wydajność strzału określona będzie przy pomocy oznaczania szybkości początkowej, ciśnienia gazów prochowych w lufie broni, siły przebicia śrucin i pokrycia.

Tymczasem badania przeprowadzane będą dla broni o kalibrze 12 i 16, jako najczęściej używanych.

Elementy nabojów, a więc proch, spłonki i łuski badane będą stale w porównaniu z zagranicznemi dla tem łatwiejszej ich oceny w pewnej skali.

Wyniki tych prac ogłaszane będą perjodycznie w „Łowcu Polskim".

Aby wyniki te mogły być przez myśliwych rozumiane, przedewszystkiem zostanie ogłoszona serja artykułów, omawiających dokładnie metody badania amunicji i broni oraz w jakim stopniu i z jakiej strony charakteryzują one nabój myśliwski, aby Stacja Badawcza mogła mieć wspólny język z myśliwymi. Poznanie tych metod i wartości oznaczeń pozwoli też myśliwym, przesyłającym swą broń do zbadania i oceny, sprecyzować swe żądania i rozumieć otrzymane wyniki oraz orjentować się w publikacjach Stacji.

Na tej zapowiedzi następnych artykułów kończymy ten inauguracyjny artykuł o Stacji Badawczej.

W tym inauguracyjnym artykule należy podnieść zasługi pp. gen. dyw. Kazimierza Sosnkowskiego, gen. dyw. Kazimierza Fabrycego i pułk. Olbrychta, Komendanta Centrum Wyszkolenia Piechoty, Zarządu P. Z. S. Ł., Dyrekcji Państwowej Wytwórni Prochu w Pionkach, Zakładów Amunicyjnych „Pocisk", Państwowej Wytwórni Uzbrojenia i wielu innych instytucyj, dzięki inicjatywie i wybitnej pomocy których Stacja Badawcza powstała, a wierzymy, że dzięki poparciu ogółu myśliwych będzie się rozwijać ku dobru myślistwa polskiego.

DYONIZY SMOLEŃSKI.

CUDZE CHWALICIE...

Propaganda łowiectwa z różnych a skomplikowanych względów należy do zadań bardzo niewdzięcznych, trudnych, a w obecnych warunkach wewnętrznych i światowych staje się zagadnieniem, wymagającem prawdziwego poświęcenia dla idei, której bezsprzecznie każdy Polak hołduje w miarę sił, no i chęci — a tem jest rozsławianie polskości zagranicą.

Nie miejsce tu na poruszanie bolączek propagandy wewnątrz kraju. Nasze społeczeństwo dziwnie ospale traktuje zwykle te dziedziny, które dotyczą szerokiego ogółu i stanowią bogactwo narodowe, jak gdyby przysłowie „moja chata z kraju" i t. d. było ulubionym motywem do odżegnywania się od wszelkich ofiar, składanych na ołtarzach, poświęconych nawet umiłowanym bożkom, — chociażby i Dianie.



Zawodnicy polscy podczas próbnego strzelania w Bordigherze. Od lewej pp.: K. Kitzman (1), W. Ziegenhirte (3) i J. Kiszkurno (4)

Tem więcej należy się uwagi wysiłkom i poczynaniom jednostek, które, szeroko rozsławiając imię Polaków, wnoszą na arenę międzynarodowych zmagań doniedawna mgliste dla wielu określenie „Pologne", „Poland" lub „Polonia".

Przyczyna apatji, z jaką się odnosimy do „wyczynów", mających za punkt wyjścia klasyczne myślistwo i kunszt z niem związany, a tylko łowiectwu zawdzięczający swe narodziny — strzelectwo myśliwskie, leży bezwarunkowo pośród błędów i nieprzystosowania się do szybkiej zmiany warunków świata myśliwskiego.

Jest w tym bogatym świecie dużo wstrętu do zbiorowych wysiłków w kierunku wywalczenia należnego stanowiska pośród innych sportów, sportów, zaawansowanych w swym rozwoju i umiejętności szerokiej propagandy bez porównania wyżej.

My myśliwi, oddający się z zapałem kunsztowi łowieckiemu też mamy wśród naszego grona swoich Kusocińskich, Walasiewiczówny i innych. Tylko my nie umiemy wskazać w odpowiednim momencie i gdzie należy, iż w wysiłkach, mających za cel szerokie pole propagandy międzynarodowej, nie pozostajemy wtyle za współziomkami, którzy biegają, skaczą pieszo czy konno, rzucają oszczepem lub dyskiem.

Co więcej — nie chcemy, czy nie umiemy wskazać szerszym, a niewtajemniczonym warstwom, że pewne działy produkcji narodowej, produkcji, związanej ściśle z wykonywaniem polowania, są podziwiane przez cudzoziemców, jako wytwór optycznie dający się poznać ze swej wysokiej jakości.

Coraz rzadziej biorę pióro do ręki, sądząc, że czas najwyższy, aby w długoletniej pracy dla umiłowanego łowiectwa „szlusować", jak w wojsku, pozostawiając miejsce dla młodszych, mocniejszych, lepszych, ale tym razem, dowiedziawszy się o świeżych sukcesach, jakie w Bordigherze odniósł nasz rodak p. Józef Kiszkurno i korzystając z jego uprzejmości,

zanotowałem skrupulatnie uwagi oraz wyniki, któremi pragnę, jako Polak się poszczycić.

Federacja Międzynarodowego Związku Strzeleckiego zorganizowała w dniach 24—27 listopada zawody strzeleckie do rzutków w Bordigherze.

Na wiadomość o tem Polski Związek Stowarzyszeń Łowieckich wydelegował swych przedstawicieli pp.: Kiszkurno, Kitzmana i Ziegenhirte.

Wobec miejsca, które p. Kiszkurno zajął w tych zawodach, jak również wobec oddawna ustalonej opinji o naszym czołowym strzelcu, uprosiłem Go o udzielenie krótkiej rozmowy na temat ostatniego wyjazdu zagranicę.

— Wyjechaliśmy z Warszawy — ciągnie wolno p. Kiszkurno, — o godzinie 17 min. 10 dnia 20 listopada, bo, aczkolwiek otwarcie zawodów wyznaczono na 24, to po dwudniowej podróży chcieliśmy się na miejscu potrenować, a przedewszystkiem zapoznać z nowym standem.

— Niestety, przybyliśmy i tak zawcześnie, gdyż stand w Bordigherze, na którym miały się odbywać zawody, nie był jeszcze przygotowany nawet do próbnych strzelań.

— Jakto? — zapytuję Mistrza. — Podobno organizowanie imprez w ostatniej minucie jest naszą specjalnością narodową, ale Włosi?...

— No, widzi Pan — okazuje się, że Włosi pod tym względem zaczęli nas wyprzedzać.

— Więc cóż było z próbami?

— Muszę tu bezstronnie podkreślić, że zawodnicy włoscy przyjmowali naszą trójkę Polaków nadzwyczaj serdecznie i przyjaźnie. Widząc nasze zakłopotanie, chętnie i po koleżeńsku zawieźli nas własnemi autami do sąsiedniego miasteczka, gdzie również jest stand.

— I jakże Mistrzowi wypadł próbny dzień?

— No, nieźle, — odpowiada p. Kiszkurno. — Pomimo, że maszyny włoskie są mocniejsze od naszych, wskutek czego talerzyki pędzą z podwójną przynajmniej szybkością, zrobiłem 60 rzędowych.

(To ładne, „nieźle" — pomyślałem).

— A jak było w dniu otwarcia zawodów?

— Z tem otwarciem było inaczej, niż zapowiadano. Przedewszystkiem zamiast o 10-ej rano zaczęliśmy strzelać o godzinie 13-ej i to tylko 2 serje po 25 rzutków. Ta zwłoka w otwarciu zawodów bardzo źle wpływa na zawodnika, — mówi p. Kiszkurno. — Człek chodzi jakiś niespokojny, a to się odbija na nerwach, a przez to i na celności strzałów.

Ale to jeszcze głupstwo w porównaniu z brakiem organizacji i porządku na standach, bo trzeba Panu wiedzieć, — objaśnia nasz Mistrz, — że w Bordigherze było 4 standy, odległe od siebie po 150 metrów, a każdy zawodnik miał obowiązek zmieniać kolejno standy i miejsca, jednak przez brak porządku nikt nie umiał zachować kolejności, co też ujemnie wpływa na wyniki.

Wreszcie niewiadomo dlaczego tylko jeden jedyny przedstawiciel Włoch Ramponi ze swoją grupą mógł sobie pozwolić na 100 talerzyków przed południem, a my i inni strzelaliśmy już o zmierzchu.

— To dziwne — rzucam, — jak na stosunki wśród sportowców, ale niech Mistrz będzie łaskaw opowiedzieć jeszcze resztę wrażeń. Nie będę przerywać.

— Proszę Pana — waży swe słowa Mistrz śrutu — warunki, w jakich musieliśmy strzelać, były dla nas trudniejsze z kilku powodów.

Po pierwsze Polacy są przyzwyczajeni do strzelania w dogodnych warunkach świetlnych, a tam postawiono nas pod słońce i w dodatku twarzą do morza, od którego blask był nader rażący.

Zawodnicy, znający miejscowe warunki, byli zaopatrzeni w specjalne daszki i okulary, zakrywające zupełnie boczne światło. Powtóre bez losowania tak jakoś wypadło, że strzelaliśmy o zmierzchu, o czem wspominałem.

Pierwszego dnia głównego strzelania, t. j. 25.XI, Ramponi zrobił 99, Strasburger 98, Lumnitscher 97, a ja 96 talerzyków.

Drugi dzień strzelania dał Ramponiemu zwycięstwo przy 95 talerzykach: Strasburger, Lumnitscher i ja zrównaliśmy się przy 93 rzutkach.

W tym też dniu, wobec ciągłego braku sprawnej organizacji, większość zawodników, a w tej liczbie i Polacy założyła protest, po którym, niestety, już w ostatnim dniu strzelania, nastąpiła ogromna poprawa.

27-go strzelaliśmy wszyscy w jednakowych warunkach i w tym dniu podzieliłem 1-sze i 2-gie miejsce z mistrzem świata Lumnitscherem przy 98 rzutkach.

W ogólnej więc klasyfikacji przy 300 talerzykach zająłem 3-cie miejsce, p. Ziegenhirte — 15-te, a p. Kitzman—17-te. Wogóle do konkursu stawało 60 zawodników, przedstawicieli 22 narodów.

Gdy p. Kiszkurno skończył tak ciekawą relację, pozwoliłem sobie na kilka pytań w sprawach, które stanowią „nervus rerum" frekwencji takiej imprezy i powodzenia poszczególnych zawodników.



Ekipa polska w Bordigherze. Od lewej pp.: K. Kitzman, J. Kiszkurno i W. Ziegenhirte.

— Niech Mistrz będzie łaskaw objanić mnie, czem się tłomaczy ilość zawodników na międzynarodowych strzelaniach? — zapytałem.

— A to, proszę Pana, tylko kwestja nagród i to nagród w gotowiźnie.

U nas zawodnik wygrywa jakiś przedmiot, stanowiący mniejszą częstokroć wartość, niż wystrzelone w danej puli naboje, a ja np. otrzymałem w gotowiźnie, po potrąceniu wszelkich świadczeń na rzecz Międzynarodowego Związku Strzeleckiego, 5.035 lirów.

— Czy interesowali się cudzoziemcy Polakami w znaczeniu sportowem?

— Efekt strzałów polskiemi nabojami, od których rzutki w powietrzu w pył się rozsypywały, zwrócił ogólną uwagę strzelających.

W zaraniu naszej niepodległości zdawało się, iż Polacy nie będą umieli postawić swego przemysłu amunicyjnego na poziomie równym przynajmniej produkcji niemieckiej, angielskiej, czy choćby czeskiej, wszakże okazuje się, że, strzelając tylko i wyłącznie nabojami, wykonanemi całkowicie w Polsce przez „Pocisk" i „Warszawską Fabrykę Amunicji", potrafią nietylko dzielnie bronić barw narodowych

sprawnością sportową, ale reklamują w sposób najbardziej efektowny, za jaki trzeba uważać „rozpylanie" cementowych talerzyków, — amunicję polską.

Już w roku 1931 — na zawodach we Lwowie, — gdzie zgromadziła się elita strzelców światowej sławy, a gdzie zdobyłem mistrzostwo, bijąc Lumnitschera, strzelałem seryjnemi nabojami „Pocisk".

Już wtedy naboje polskie zwróciły powszechną uwagę, a ostatnio w Bordigherze zarówno ja, jak i pp. Kitzman oraz Ziegenhirte byliśmy oblegani przez zawodników, którzy prosili choć po kilka nabojów polskich na próbę. Oczywiście z przyjemnością i najgłębszem zadowoleniem Polaków to uczyniliśmy.

— A jakiemi nabojami strzelał Mistrz ostatnio? — zapytuję.

— Wogóle strzelam „Pociskiem", a od dłuższego czasu tylko seryjnemi „Darzborami", które są znakomite. A muszę dodać, — kończy p. Kiszkurno, sięgając do kieszeni, — że tej miary strzelec, co Ramponi, strzela ładunkami angielskiej produkcji. To mówiąc, p. Kiszkurno wręczył mi nabój z następującym napisem: „Eley-Grand-Prix-Case Edmondo Ramponi — Bologna, Made in Great Britain".

Dziękując uprzejmie Mistrzowi za łaskawie udzielone mi informacje, pożegnałem Go z uczuciem zadowolenia, wywołanego bezstronnym, bo obcym sądem o produkcji polskich nabojów myśliwskich.

JERZY DYLEWSKI.

ODEZWA KOMISJI PROPAGANDOWEJ.

POLSKIEGO ZWIĄZKU STOWARZYSZEŃ ŁOWIECKICH

DO PANÓW DELEGATÓW POWIATOWYCH — PO RAZ DRUGI.

Podstawą wszystkich poczynań Komisji Propagandowej, dążącej do takiego postawienia sprawy wydawnictwa „Łowca Polskiego", ażeby doprowadzić je do powszechnego spopularyzowania pomiędzy myśliwymi polskimi zapomocą możliwie najniższej ceny prenumeraty, jest w pierwszej linji stworzenie dokładnej i przejrzystej kartoteki polskich myśliwych.

W tym celu, zgodnie z uchwałą Zarządu P. Z. S. Ł. z dn. 5 listopada r. b., zwracamy się do wszystkich Panów Delegatów powiatowych o dostarczenie nam, o ile możności w najbliższym czasie, listy myśliwych swego powiatu i zaopatrzenie jej ewentualnemi własnemi uwagami, dotyczącemi poszczególnych osób.

Listę taką bez trudności osiągnąć mogą Panowie Delegaci od urzędów starościńskich, gdzie prowadzona jest ewidencja osób, otrzymujących pozwolenia na utrzymywanie broni myśliwskiej oraz karty łowieckie.

Lista, o jaką nam chodzi, musi obejmować nazwisko i imię myśliwego, jego miejsce zamieszkania i pocztę (adres), zawód i ewentualne uwagi.

Pozatem, że kartoteka tego rodzaju w rękach Komisji Propagandowej P. Z. S. Ł. odegra ważną rolę w stosunku do zamierzonych prac Komisji na najbliższą przyszłość, stanowić ona będzie również pożądany materjał statystyczny dla segregacji myśliwych pod względem rozwoju możliwości organizacyjnych.

Z uwagi na niezmierną ważkość pomyślnego przeprowadzenia w krótkim czasie powyższego zadania, zwracamy się do Panów Delegatów z jak najgorętszym apelem o niezlekceważenie tej sprawy i o dołożenie z Ich strony rzetelnych chęci i starań dla dopomożenia naszej akcji.

W razie, gdyby Panowie Delegaci napotkali w tej mierze na jakiekolwiek trudności, uniemożliwiające Im wywiązanie się z tego zadania, prosimy o łaskawe odwrotne zakomunikowanie nam o tem.

P. S. Wobec otrzymania od dnia ogłoszenia odezwy (10.XI) dopiero 40 list myśliwych, obejmujących zaledwie tyleż powiatów, zmuszeni jesteśmy raz jeszcze zwrócić się do pozostałych Panów Delegatów powiatowych z prośbą o nieuchylanie się od obowiązku współpracy w tak ważnej dla P. Z. S. Ł. sprawie.

Zaznaczamy, że pragniemy być w posiadaniu list myśliwych do dnia 15 stycznia 1935 r.

Komisja Propagandowa
Polskiego Związku Stowarzyszeń
Łowieckich.

Z POLSKIEGO ZWIĄZKU STOWARZYSZEŃ ŁOWIECKICH.

PROTOKÓŁ POSIEDZENIA WYDZIAŁU WYKONAWCZEGO Z DNIA 26 LISTOPADA 1934 R.

Obecni pp.: Przewodniczący — Wacław Szperling, Wiceprezesi Zarządu — gen. dyw. Kazimierz Fabrycy i Maurycy hr. Potocki, Członkowie — red. Walenty Garczyński, dyr. Bohdan Gędziorowski, inż. Herman Knothe, Józef Krauze, gen. Stanisław Skrzyński, Józef Skrzypek, mec. Aleksander Tallen-Wilczewski, oraz Członek Komisji Łowieckiej Polskiego Towarzystwa Łowieckiego — inż. Andrzej Śliwiński.

Protokół prowadził Jerzy Bokiewicz.

Protokółu posiedzenia Wydziału Wykonawczego z dnia 20 września r. b. nie odczytywano, ponieważ został on już zatwierdzony na plenarnem posiedzeniu Zarządu Związku w dniu 5 listopada r. b.

Na wniosek Pomorskiego Towarzystwa Łowieckiego, Wydział Wykonawczy:

a) zwolnił z pełnienia obowiązków Delegatów Powiatowych pp.: szamb. Tomasza Komierowskiego (z pow. Sępolno), dr. Jana Łukowicza (z pow. Chojnice) i nadl. Feliksa Soboczyńskiego (z pow. Brodnica) — wobec mianowania ich Delegatami Wojewódzkimi Związku na województwo pomorskie;

b) mianował p. Norberta Dutkiewicza (Włościborz, Komierówek) Delegatem Związku na powiat Sępolno.

Wydział Wykonawczy przyjął do wiadomości pismo p. starosty powiatowego w Kaliszu, powiadamiające, iż p. Ludwik Górski, wobec zajęć osobistych, mandatu Delegata Związku przyjąć nie może.

Na wniosek Delegata Związku na powiat Płoński, p. inż. Korybut - Daszkiewicza, Wydział Wykonawczy zatwierdził kandydaturę p. Jerzego Marczewskiego (Płońsk, Ćwiklin) na trzeciego Delegata Związku na powiat Płońsk woj. warszawskiego.

Przyjęło do wiadomości treść odezwy, rozesłanej przez Delegata Związku na powiat Płońsk, p. inż. Korybut - Daszkiewicza do wszystkich myśliwych w powiecie, a nawołującej do wnoszenia opłat na rzecz utworzonego w powiecie Funduszu Ochrony Łowiectwa.

Po rozpatrzeniu deklaracji i dołączonych akt Radzyńskiego Towarzystwa Łowieckiego w Radzyniu Podlaskim, Wydział Wykonawczy postanowił przedłożyć, na najbliższem plenarnem posiedzeniu Zarządu Związku, wniosek o zaliczenie wymienionego Towarzystwa w poczet Stowarzyszeń Związkowych.

Małopolskie Towarzystwo Łowieckie nadesłało Związkowi z prośbą o interwencję odpis pisma p. wojewody krakowskiego z dnia 4 czerwca r. b. Nr. RL. IV—5/10/34. W piśmie tem, będącem odpowiedzią na podanie Delegata Związku w powiecie

Nowy Sącz, hr Stadnickiego, o zamknięcie polowania na sarny i jelenie w gminach: Łabowa, Uhryn i Wierchomla, p. wojewoda krakowski zawiadamia, iż Ministerstwo Rolnictwa i Reform Rolnych uważa zamykanie polowania na małych obszarach za niecelowe i ze względów zasadniczych niepożądane, gdyż doprowadziłby to mogło do zupełnego chaosu prawniczego.

Wydział Wykonawczy postanowił odpowiedzieć Małopolskiemu Towarzystwu Łowieckiemu, że interwenjować w tej sprawie nie może, gdyż uważa stanowisko Ministerstwa Rolnictwa i Reform Rolnych za najzupełniej słuszne.

Rozpatrzenie pisma p. Dobiesława hr. Kwileckiego postanowiono odłożyć do czasu otrzymania wyjaśnień p. Konstantego Chłapowskiego.

Wniesioną przez Kółko Łowieckie „Czapla" w Warszawie sprawę przeciwko b. członkowi tegoż kółka, Gustawowi Deisenbergowi, Wydział Wykonawczy postanowił przekazać Sądowi Łowieckiemu.

W związku z ogłoszeniem w „Łowcu Polskim" protokółu posiedzenia zarządu Sekcji Ochrony i Hodowli Łosia (Nr. 31 z r. b.), Wydział Wykonawczy uznał, iż opublikowanie krytyki postępowania poleskiego urzędu wojewódzkiego było niewłaściwe.

Jednocześnie wydział Wykonawczy przedsięwziął środki, aby tego rodzaju publikacje nie ukazywały się w organie Związku.

Po rozpatrzeniu wniosków o odznaczenia, Wydział Wykonawczy nadał:

Złoty Medal Zasługi Łowieckiej:

Olgierdowi Świdzie, Delegatowi P. Z. S. Ł. na powiat Nieśwież woj. nowogródzkiego, Członkowi Towarzystwa Łowieckiego Ziem Wschodnich — za wybitne zasługi na polu hodowli zwierzyny oraz działalność na stanowisku Delegata Związku.

Adamowi Bederskiemu, Staroście Powiatowemu w Płońsku — za szczególne popieranie interesów łowiectwa.

Stanisławowi Szancerowi, Nadleśniczemu Lasów Państwowych w Lipnie — za zasługi na polu hodowli i ochrony zwierzyny oraz skuteczną walkę z kłusownictwem.

Srebrny Medal Zasługi Łowieckiej:

Bronisławowi Kowalskiemu, przodownikowi policji państwowej w Końskich — za energiczną i skuteczną walkę z kłusownictwem i wnykarstwem.

Bronzowy Medal Zasługi Łowieckiej:

Bieniowi Franciszkowi,
Nieściorowi Janowi i
Tarczewskiemu Stanisławowi, strażnikom łowieckim i gajowym nadleśnictwa w Kraśniku — za gorliwą pracę na polu hodowli i ochrony zwierzyny oraz energiczną walkę z kłusownictwem.

Przyjęło do wiadomości podziękowania odznaczonych Złotym Medalem Zasługi Łowieckiej pp. Wacława Rogińskiego, Dyrektora Lasów Państwowych w Siedlcach, Mikołaja Kawelina, Delegata Związku na powiat Białystok i płk. dr. Marjana Buczyńskiego, Delegata Związku na powiat Lida.

P. Skrzypek postawił, w imieniu Komisji Propagandowej, wniosek, aby Związek wydrukował tabelki czasów ochronnych na rok 1935 w celu rozesłania ich, jak w r. 1933, starostwom dla sprzedaży myśliwym przy odnawianiu kart łowieckich, po minimalnej cenie.

Wydział Wykonawczy postanowił wydrukować tabelki z terminami polowań i sprzedawać je po 10 gr.

DOBRE I ZŁE.

Wydawane we Lwowie „Aktualne Wiadomości Leśnicze" od czasu do czasu poświęcają trochę miejsca dziedzinie łowiectwa. W Nr. 23 z dn. 1 b. m. zamieszczono tam dłuższy artykuł inż. J. Toepfera, który p. t. „Bolączki gospodarki łowieckiej" poddaje krytyce wielce zawiłą i trudną do ścisłego przeprowadzenia w praktyce, a także kosztowną i pochłaniającą wiele czasu procedurę, dotyczącą postępowania w ustalaniu i zasądzaniu odszkodowań za szkody, wyrządzane przez zwierzynę.

Inż. Toepfer prowadzi do tego, że, jakkolwiek niema rozbieżności w zapatrywaniach co do słuszności tych odszkodowań, stosowanych przez wszystkie państwa europejskie, to jednak władze rządowe winny pamiętać bardziej o tem, że łowiectwo stanowi ważną dziedzinę życia ekonomicznego i jednostki, które ten majątek narodowy racjonalnie eksploatują, powinny w każdym kierunku wspierać, a wysiłki i pracę ich odpowiednio oceniać.

Wkońcu autor wygłasza przekonanie, że nadmierna wysokość opłat fiskalnych, ponoszonych przez dzierżawców terenów łowieckich, odstrasza prawdziwych hodowców-myśliwych i hamuje w znacznej mierze racjonalne prowadzenie gospodarki łowieckiej, która sama przez się wymaga w wielu wypadkach znacznych wkładów inwestycyjnych i administracyjnych. Wreszcie dochodzi do konkluzji, że w związku z temi przesłankami opłaty za karty na broń i karty łowieckie są wogóle za drogie, a ponadto straż łowiecka, podobnie jak funkcjonarjusze lasów państwowych, winna być od tych opłat zwolniona całkowicie, wreszcie nie powinny być pobierane żadne opłaty stemplowe od podań, związanych z łowiectwem.

Inż. Toepfer dowodzi, że skarb państwa nie poniósłby żadnych strat wskutek wprowadzenia wymienionych ulg, tem samem bowiem zachęciłby szersze koła hodowców-myśliwych do prowadzenia racjonalnej, intensywnej gospodarki.

Idąc śladem myśli i rozumowań Sz. Autora, trzeba zgodzić się z tem, że młode ustawodawstwo nasze posiada wiele jeszcze słabych stron w postępowaniu proceduralnem i że niewątpliwie postępowanie to w sprawie ustalania i zasądzania odszkodowań za szkody, wyrządzane przez zwierzynę, praktycznie biorąc, z punktu widzenia życiowego pozostawia bardzo wiele do życzenia i byłoby pożądanem, ażeby uległo jak najrychlejszej odmianie.

Co się tyczy ogólnych zmian, jakieby inż. Toepfer pragnął widzieć pod względem ciężarów podatkowych, ponoszonych przez łowiectwo, to w pierwszym rzędzie nie można nie uznać za naprawdę konieczne zwolnienia strażników łowieckich od opłat za karty na broń i unormowania przepisów jej używania bez potrzeby wykupywania kart łowieckich, jak również wprowadzenia ulg w opłatach stemplowych od podań w sprawach ogólno-łowieckich, których istnieje wielka ilość i nadzwyczaj obciąża budżet gospodarczy łowisk.

Jednakże co do kwestji proponowanego powszechnego zniżenia opłat za karty łowieckie i pozwolenia na broń myśliwską o 50%, to, uznając w zupełności wartość takiego zarządzenia dla rozwoju łowiectwa, nie można mieć, niestety, złudzeń, że, gdyby to za jednym zamachem zastosować do wszystkich petentów („kandydatów na myśliwych"), liczba zarejestrowanych myśliwych w Polsce wzrosłaby wprawdzie znacznie, jednakże — z największą pewnością — wzrosłyby szeregi pseudo-myśliwych, wybijaczy zwierzyny (a nie hodowców), „mięsiarzy", czyli poprostu ulegalizowanych kłusowników, których i dziś nie brak.

Zarządzenie więc takie, w zasadzie bardzo celowe, władz, chcących iść na rękę rozwojowi łowiectwa, jako dziedziny o znacznej wartości gospodarczej kraju, musiałoby być opatrzone rygorami i warunkami. Kardynalnym warunkiem musiałoby być wykazanie się petenta o ulgową kartę stosowaniem zasad racjonalnej gospodarki łowieckiej. Myśliwi niehodowcy, lub nieczłonkowie stowarzyszeń, prowadzących gospodarkę hodowlaną, ulgi tej nie powinni otrzymać pod żadnym pozorem. Niestety bowiem poziom etyczny szerszego ogółu naszych myśliwych dalekim jest jeszcze od tego, aby nie przeprowadzać selekcji osób, które się uprawnia do wykonywania polowania.

„Dziennik Białostocki" w dn. 10 b. m. wydrukował obszerny artykuł p. Andrzeja Śliwińskiego p. t. „Łowiectwo a ubezpieczenie".

Z radością witamy ten głos fachowca i myśliwego, który

umiejętnie i przekonywająco przemówił z łamów prasy codziennej i prowincjonalnej. Dotychczas „Łowiec Polski" prowadził akcję popularyzowania ubezpieczeń w łowiectwie prawie całkowicie odosobniony, budząc poczucie obowiązku myśliwych pod tym względem wśród ograniczonych kół własnego zasięgu.

Jest to jednak sprawa tak pierwszorzędnej wagi, zwłaszcza co do stosowania ubezpieczeń pracowników terenowych, mających na każdym kroku styczność z rozpanoszonem i bezczelnem kłusownictwem, od którego co chwila grozi im otwarta napaść z bronią, lub zdradziecka zasadzka, że koniecznością jest szeroka akcja propagandowa całej prasy polskiej, nieograniczająca się do suchych wzmianek i przypomnień.

W wystąpieniu „Dziennika Białostockiego" z artykułem p. Śliwińskiego widzimy niewątpliwie wpływ coraz zwarciej organizującego się na terenie województwa białostockiego świata łowieckiego.

*

„Ilustrowany Kurjer Codzienny" coraz częściej udziela miejsca na swych łamach zagadnieniom łowieckim, rozpatrywanym z punktu widzenia gospodarczego. W ostatniem półroczu znalazły tam liczne odgłosy opłakane warunki w świecie zwierzyny łownej, wywołane na terenach, dotkniętych tegoroczną letnią powodzią.

Na tem tle mamy do zanotowania niedawną wymianę zdań pomiędzy redakcją („Zagłada zwierzostanu na terenach popowodziowych. — Wstrzymanie polowań koniecznością chwili"), a dr. M. W. z Brzeska („Zastrzelą nawet ostatniego zająca").

Redakcja „Ilustrowanego Kurjera Codziennego" (tak należy przyjąć, bowiem artykuł jest pisany w liczbie mnogiej, a przez nikogo nie podpisany) zatrwożona jest wyniszczeniem zwierzostanów przez powódź na niżej położonych terenach powiatów, ogarniętych latem tą klęską i ubolewa, że na sąsiednich, wyżej położonych łowiskach odbywają się normalne polowania, zamiast, nie naruszając tych zwierzostanów odstrzałem, uważać je za naturalny rozsadnik zwierzyny na okolice jej pozbawione. W konsekwencji nawołuje do natychmiastowego wydania zakazu polowań na tych terenach, widząc w tem jedyny ratunek pod względem możności rozsiedlenia zwierzyny wszędzie, gdzie jej dziś brak.

Dr. M. W., dzierżawca terenów łowieckich w tych samych okolicach, twierdzi znów, że zamknięcie całkowite polowania w całych powiatach nie przyniosłoby pożytku, lecz właśnie powiększyłoby straty. Wychodzi z założenia, że w powiatach tych jest niezmiernie rozpowszechnione kłusownictwo, a zwłaszcza wnykarstwo, że natomiast zamknięcie polowania wywołać musi zwinięcie placówek straży łowieckiej, co zwiększy odwagę tępicieli zwierzyny, „którzy i tak, gdyby wiedzieli, że jest tam ostatni zając, zastrzelą go, lub złapią w sidła". W konkluzji nawołuje do zaostrzenia kar za kłusownictwo i do odpowiedniego ostrzeżenia o tem ludności.

Otóż oba te głosy posiadają częściową tylko i teoretyczną rację. Wobec braku funduszów na zasilenie ogołoconych łowisk zwierzyną importowaną zzewnątrz, tereny niezniszczone powodzią, a sąsiadujące z pierwszemi, stanowią oczywiście naturalną remizę, źródło, z którego zwierzyna będzie przechodzić i rozmnażać się w coraz dalszych okolicach, które przedstawiają dla niej tereny do objęcia. Lecz również oczywiście zakaz polowania na terenach zasobnych, bez roztoczenia najbardziej pieczołowitej opieki nad całością powiatów, nie przyniesie tak szybkich i wydatnych rezultatów, skoro nie jest tam zlikwidowana do możliwego minimum plaga kłusownictwa. Przeciwnie, zaprowadzenie wszędzie takiej ochrony i zastosowanie surowszych kar na przestępców, - pomimo niezamykania polowania na terenach o racjonalnej gospodarce sprzyjać może rozprowadzeniu zwierzyny daleko wydatniej.

Sam dr. M. W. zaznacza, że „tereny łowieckie w wielu bardzo wypadkach znajdują się w nieodpowiednich rękach i że myśliwi ci będą na nich polować narówni z kłusownikami, mimo zamknięcia polowania".

Patrząc na takie oświetlenie sytuacji, należy dojść do przekonania, że szybka restytucja zwierzostanów na terenach popowodziowych zależeć może jedynie od inicjatywy (we własnym interesie) właścicieli racjonalnych gospodarstw łowieckich, którzy muszą w tym celu zorganizować swą akcję i razem udać się do władz administracyjnych, przedstawiając im istotny stan rzeczy i proponując środki zaradcze, z których w pierwszej linji nasuwa się zdecydowane tępienie kłusownictwa i wnykarstwa, następnie pomnożenie środków ochronnych, a wreszcie dobrowolne ograniczenie odstrzału.

Dr. M. W., który zabrał głos, jako myśliwy, powinien umieć znaleźć czas i siłę do zainicjowania takiego frontu prawidłowych myśliwych i ich wspólnej akcji, gdyż, rzecz prosta, dobre, ale rozstrzelone chęci sprawy nie rozwiążą, ani nie przekonają miejscowych władz do wyjątkowo gorącego współdziałania.

WUZET.

Redaktor Walenty Włodzimierz Garczyński. **Wydawca:** Polski Związek Stowarzyszeń Łowieckich.

PRENUMERATA: Zgóry za kwartał zł. 7.50; za pół roku zł. 15; za rok zł. 28. — Miesięcznie 2.50. — Numer pojedyńczy — 1 zł. Numer ozdobny 1 zł. 50 gr. Za numery które wyszły przed zapłaceniem, liczymy po 1 zł. Za zmianę adresu 50 gr. Za numer reklamowany w przeciągu miesiąca — 25 gr.

Redaktor przyjmuje rozmowy telefoniczne oraz interesantów w swem mieszkaniu prywatnem (Kredytowa 18 m. 3, tel. 604-25), codziennie, prócz sobót, między 3-ą i 4-ą pop.; w redakcji — w poniedziałki od 6-ej do 7-ej pop. — Biuro czynne od 9 do 3-ej i od 5-ej do 7-ej wiecz., w sobotę do godz. 3-ej.

Zarząd i Sekretarjat Polskiego Związku Stowarzyszeń Łowieckich tel. 6 66-15.

ADRES: NOWY ŚWIAT 35. TELEFON REDAKCJI I ADMINISTRACJI 607-98. KONTO P. K. O. Nr. 8082

NA GWIAZDKĘ

poleca się następujące książki myśliwskie:

„Szczęśliwe Dni" — Stefana hr. Badeniego	zł. 18.00
„Krajobrazy i Polowania w Polsce" — Pierre Coche	„ 6.50
„Nad Nilem Niebieskim" — Jana Sztolcmana	„ 6.00
„Nasze Psy" — St. Błockiego	„ 7.00
„Lis" Monografja Jerzego Dylewskiego	„ 3.00
„Żubr" — Jana Sztolcmana	„ 3.30
„Uwagi o Polowaniu na Jelenie Podczas Rykowiska na Przesmyku" — Inż. Tadeusza Śliwińskiego	„ 1.00
„Myślistwo w „Panu Tadeuszu" — Mieczysława Mulszek Tchorznickiego	„ 0.30
„Ocena Trofeów Myśliwskich" — Inż. H. Knotbego	„ 0.30
„Dubeltówka Śrutowa Nabój Strzelanie" — Henryka Downar-Zapolskiego	„ 3.00
„Estetyka Łowiecka" — Wł. Janty-Połczyńskiego	„ 2.00
„Św. Eustachy" Wł. Janty-Połczyńskiego	„ 3.00
„Hodowca a Myśliwy" — Ernesta hr. Sylva Tarouca	„ 3.00
„Jarząbek" Monografja Ottona Pereświet-Sołtana	„ 1.00
„Kalendarz Myśliwski" na rok 1935	„ 3.00
„Myślistwo z ogary" — Jana hr. Ostroroga	„ 1.50
„Polująca Pani" — Wł. Janty-Połczyńskiego	„ 3.50
„Ramoty Myśliwskie" — Wł. Janty-Połczyńskiego	„ 3.00
„W polu i w lesie" — Wł. Gürthera	„ 1.00

Za przesyłkę poleconą dolicza się zł. 1.00
Za zaliczeniem pocztowem najmniejsza dopłata zł. 1.50

Administracja „Łowca Polskiego" Warszawa, ul. Nowy Świat 35

OGŁOSZENIA DROBNE

Dubeltówka dwunastka Szolberga lufy Goldi anticorro (nierdzewiejąca) okazyjnie do sprzedania. Zgłoszenia do Adm. „Łowca Polskiego dla B. A. P.

Tresowany rasowy Doberman (pies) 1½ r. (znaczek) Leśnictwo Dłoń Wlkp.

Urzędnik gospodarczy, lat 32, żonaty, ewangelik, pracował 15 lat bez przerwy na majątkach rolnych w b. zaborze pruskiem, w ostatnim czasie jako samodzielny rządca, poszukuje od zaraz lub później odpowiedniej posady jako samodzielny lub pod dyspozycję właściciela. Łaskawe oferty proszę skierować: Fr. Schmidt, poczta Gostyczyn Pomorski, powiat Tuchola.

Wyżlicę gładkowłosą czteroletnią nagradzaną i surową, ośmiomiesięczną sprzedam lub zamienię na dubeltówkę Modlin skrz. 11

Zakł. Druk. F. Wyszyński i S-ka, Warszawa.